

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 26 KWIETNIA 1930 ROKU

NR. 17

TREŚĆ NUMERU: Odwaga cywilna — *Janina Strzelecka*. Powołanie pierwszej kobiety na stanowisko ministra — *Natalja Jastrzebska*. Poezje: „Anglja” — *Felicja Kruszevska*. Kuzynki Wądołkowskie (fragment) — *Ewa Szelburg-Zarembina*. Rozmowy z panem mężem — *Jadwiga Krawczyńska*. „Drugs’y” i „Piggly-Wiggly” — *M. Znatorwicz-Szczepańska*. Zmowa przeciw kobiecie — *W. Ł. Z teatrów* — *S. P. O. Z książek* — *H. N.* Kobieta w świecie i w domu. Reforma mody męskiej — *J. Jezierska*. Kilka uwag o hodowli kukurydzy — *M. Saryusz-Stokowska*. Zasady racjonalnego gotowania dla chorych i ozdrowieńców — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Koło studjów gospodarstwa domowego — *Marja Ankiemiczowa*. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Dodatki — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie” — *Zofja Reutt-Witkowska*. Arkusz wzorów.

ODWAGA CYWILNA

Oddawna noszę się z myślą poruszenia tego tematu. Artykuł: „Oskarżam” pana J. D. w „Mównicy” (Nr. 12 „Bluszczu”) o bezwzględności dyrektora szkoły, który odmówił udzielenia urlopu matce ciężko chorego dziecka — był tą kroplą, która przepełniła kielich. Zgadza się w zupełności z Szan. Autorem, że po owym liście nieszczęśliwej matki, której dziecko umarło wskutek niedostatecznej opieki, szpalty „Mównicy” powinny były przemówić wielkim głosem oskarżenia przeciwko temu człowiekowi, którego ponura, mizerna oschłość postawiła ową matkę wobec dylematu: stracić posadę i narazić siebie i dziecko na nędzę, czy pozostawić chore dziecko bez matczynej opieki.

Zaiste, potworny konflikt, i doprawdy papierowemi wydają mi się niekiedy tragedje samego Szekspira, gdy staje w obliczu dnia codziennego, wpatrując się w te „drobne” sprawy przeogromnej niedoli ludzkiej, w owe „incydenty”, które, jeżeli mają zabarwienie sensacji, dostają się na szpalty pism, jeżeli nie, otrzymują wyświechtaną nazwę, ubożuchny szyldzik „cichej tragedji”.

Nasuwa się natarczywe, niepokojące pytanie: dlaczego owa matka tak właśnie rozstrzygnęła sprawę, dlaczego nie ominęła nakazu? Przecież niepodobna przypuścić, aby w razie spełnienia groźby pana dyrektora, t. j. udzielenia jej dymisji, nie znalazła drogi do tego, coby dymisję uchylił. Dlaczego zabrakło jej *odwagi cywilnej*? A potem, skoro to najgorsze się stało, dlaczego przemilczała tę sprawę, dlaczego, z pobudek zarówno osobistych, jak obywatelskich, nie uczyniła wszystkiego, aby ów fakt dostał się do wiadomości zwierzchników pana dyrektora, do wiadomości opinii publicznej?

Niepodobna przecież, aby niewolnictwo dzisiejszego pracownika-inteligenta przypominało aż czasy, w których żyli bohaterowie Chaty Wuja Toma. Niewolnictwo dzisiejszego inteligenta, w szczególności kobiety pracującej!

To może zbyt mocno powiedziane? Niestety — nie! Podaż owej pracy napozór jest tak wielka, konkurencja tak ogromna, że o ile biały murzyn (obywatel, korzystający z pełni praw, konstytucją zagwarantowanych) reklamuje swoją krzywdę, no, to przecież na jego miejsce czeka tylu innych, a zwłaszcza tych, którzy mają „protekcję”, że z owymi małocontentami nikt ceremonji sobie nie robi.

Wszystko to uchodzi bezkarnie, tembardziej jeszcze, że rzadko kiedy poszkodowani upominają się o swoje prawa, rzadko kiedy umieją się zdobyć na odwagę cywilną, aby reagować na szykany. Właśnie ów brak cywilnej odwagi, spotykany u nas na każdym kroku, tak samo, jak owa dziwna, niewytłumaczona „pseudo wstydlivość”, polegająca właściwie na umywaniu rąk i obawie przed t. zw. skandalem — są naprawdę niezwykle smutnym objawem naszego życia.

Ileż to razy jesteśmy świadkami faktów, przeciwko którym należałoby zaprotestować; ileż to razy słyszymy o sprawach, o których należałoby głośno krzyczeć, a mówi się o nich pocichu, w tajemnicy. Bo „to nic nie pomoże”... „Można się narazić”... „trzeba to zatuszować, bo to brzydka sprawa”...

Oto typowe odpowiedzi, jakie otrzymujemy, zapytując o przyczynę milczenia.

Jakieś przedziwne, powiedziałabym, lenistwo ducha, czy myśli, czy zgoła niechęć do jakiegokolwiek wysiłku daje się zaobserwować u olbrzymiej więk-

szości ogółu; jakaś przedziwna abnegacja w stosunku do spełnienia owego elementarnego obowiązku moralnego, gdy chodzi o jawne przeciwstawienie się złu. Owo lenistwo idzie znacznie dalej, przybiera wręcz karykaturalne formy, zwłaszcza, jeżeli idzie o jeden jeszcze moment, t. zw. „nierobienia komuś przykrości“. W imię owego więc, tak specyficznego pojętego „humanitaryzmu“, popełnia się cały szereg gorszących niekiedy kompromisów z własnym sumieniem, z interesami społecznymi i t. d.

Ileż to faktów mogłabym przytoczyć na poparcie swoich wywodów! tych „drobnych“, codziennych faktów, świadczących o kompletnym braku cywilnej odwagi i poczucia odpowiedzialności. W życiu organizacyj społecznych z jakąż to łatwością można użyć podpis „członka wprowadzającego“ dla kandydata, czy kandydatki, których taki „wprowadzający“ na oczy nie widział! Na wszelkich posiedzeniach ileż to razy się milczy, słuchając argumentów „przedmówcy“, czy „przedmówczyni“, ale z obawy zaszkodzenia sobie, ze względu na wysokie stanowisko takiego kogoś, nawet przez myśl nie przejdzie chęć zaoponowania, złożenia votum separatum w razie przyjęcia wniosku, wogóle z obawy znalezienia się w mniejszości! W instytucji jakiejś np. pan dyrektor wydaje okólnik, na którego podstawie należy zredukować pracujące kobiety, odmawiać im urlopów w razie choroby; nie pomagają tu zaświadczenia lekarskie, bo ich się nie uznaje, usuwa się tedy przy najbliższej okazji urzędniczkę, nie zwracając uwagi, że utrzymuje ona częstokroć rodzinę, bowiem na posadę czeka już jakiś protegowany, którego kwalifikacje są o wiele gorsze, aniżeli owej zredukowanej kobiety. Fakty te są w ostatnich czasach coraz częstsze, ale myliłby się ten, coby sądził, że naprz. w związku, czy w stowarzyszeniu urzędników danej instytucji możnaby się było spodziewać jakiejś interwencji, czy zgoła protestu.

Nikt nie miałby tu odwagi postawić podobnej sprawy na porządku obrad, bo spełniając ten elementarny obowiązek solidarności koleżeńskiej, naraziłby się na t. zw. dyscyplinarkę, może i na dymisję.

Czasem zastanawia się człowiek, poco opracowuje się wogóle jakieś statuty, czy regulaminy, przepisy czy prawa, bo przecież są one tak luźno, tak połowicznie, albo powierzchownie interpretowane, albo wogóle wcale nie przestrzegane, że ludzie najczęściej z obawy... „narażenia się na śmieszność“ krępują się powoływać się na nie. Owo poczucie podstawy prawnej, formalnej, czy nawet moralnej tak jest w nas jeszcze słabo ugruntowane, owo poczucie swego największego obywatelskiego prawa do zaprotestowania wobec czegoś, czy upomnienia się o coś, tak słabo rozwinięte, że widocznie uważamy się wciąż jeszcze za czyichś „poddanych“ na każdej niemal najskromniejszej placówce.

Wszędzie ten brak odwagi cywilnej, wynikający poczęści z braku uświadomienia co do swoich praw.

Na tym właśnie punkcie jesteśmy doprawdy w najbardziej początkowym stadium rozwoju. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy być obywatelem, czy obywatelką, mało kto rozumie znaczenie owej umowy obustronnej, polegającej na obopólnych zobowiązaniach, a, w razie naruszenia ich, na konieczności „obywatelskiego“ obowiązku bronięcia się, czyli właśnie na korzystaniu z przysługującego mu prawa.

Inercja w tym wypadku jest tak wielka i tak dziwne pomieszanie pojęć, że jeśli się zdarzy, iż ktoś właśnie upomina się o swoje prawa, reaguje na różne fakty, no to ileż razy naraża się na zarzut... hysterji, niekulturalności, gorszycielstwa etc.

Byle cicho. Poco mówić o niemiłych rzeczach, poco robić komuś przykrość, poco obnażać pewne niedomagania? Lepiej udać, że się o niczem nie wie i spokojnie przechodzić koło mnóstwa spraw, których nie chcemy i nie raczymy zauważyć, albo nawet widzimy, ale nie poruszamy, żeby się nie narazić na zarzut wprowadzania fermentu. A przecież, gdyby tak wszyscy rozumowali, to nie mogłoby być mowy o jakiegokolwiek współpracy, o życzliwej krytyce, przy której pomocy ileż rzeczy dałoby się przeprowadzić lub poprawić. Ale nie! wciąż obawa przed „narażeniem się“, i oto rośnie łańcuch nieporozumień, człowiek dusi się wprost w atmosferze obłudy i zakłamania.

Jesteśmy społeczeństwem wciąż jeszcze pseudo - arystokratycznym w stosunku do miliona codziennych, drobnych spraw, które lekceważymy w niebywały sposób, zapominając, że właśnie przez wyrobienie w sobie poważnego stosunku do drobiazgów, dochodzi się do kultu dla rzeczy wielkich. Nie chodzi, broń Boże! o drobiazgowość, ale o konieczność momentu skupienia się, podniesienia treści dnia codziennego do pewnej godności, uszlachetnienia form bycia, uzewnętrzniających tę właśnie treść duchową, której najpiękniejszym przejawem jest odwaga cywilna, czyli — gotowość przyznania się do siebie, choćby w przeciwieństwie do całego świata.

Nie należy tego utożsamiać z jakimś skrajnym indywidualizmem, wieczną opozycją, czy warcholstwem. Nie. Odwaga cywilna — to cnota tak piękna i tak rzadka, to taki triumf *człowieka w człowieku*, to jednocześnie taka przemożna siła i moc, że należałoby tę cnotę szczególnie wpajać w naszych synów i córki. Odwaga cywilna, jako obrona i jako atak, jeżeli tego potrzeba; odwaga cywilna, jako protest, jako wysiłek i trud, po drodze największego nieraz oporu; odwaga cywilna wreszcie — to podstawowy element bohaterstwa, to rękojmia wygranej w walce z bezprawiem, z małodusznością i tchórzostwem.

Janina Strzelecka.

POWOŁANIE PIERWSZEJ KOBIETY NA STANOWISKO MINISTRA

W historii rozwoju działalności społecznej i politycznej kobiet w Polsce zaszedł w ostatnich tygodniach znamienity fakt. P. Zofja Moraczewska, przewodnicząca Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, została przy tworzeniu gabinetu przez p. marszałka Senatu, prof. Szymańskiego, zaproszona do objęcia teki ministra Pracy i Opieki Społecznej.

Po raz pierwszy od dziesięciu lat zupełnego zrównania praw politycznych i obywatelskich obu płci, pomyślano o tem, że kobiety nadają się nie tylko do gorliwej pracy pomocniczej, lub tworzenia własnych organizacyj, lecz i do objęcia stanowisk naczelnych w rządzeniu państwem.

P. Zofja Moraczewska ma za sobą długoletnią i zasłużoną działalność społeczną. Poświęciła się specjalnie sprawie oświaty kobiet ze sfer robotniczych, organizując Koła samokształcenia, wykłady, kursy, odczyty, teatry amatorskie we Lwowie, w Samborze i Stryju. Z chwilą wybuchu wojny, została przewodniczącą Naczelnego Zarządu Ligi Kobiet Galicji i Śląska, po połączeniu z Królestwem, główną przewodniczącą Zjednoczonych Lig, pozostając na tem stanowisku do końca r. 1918, w którym z powodu zdrowia i stosunków rodzinnych zmuszona była zrzec się tej pracy. W r. 1927 Liga Kobiet wybrała ponownie p. Moraczewską na przewodniczącą: jednocześnie stanęła ona na czele demokratycznego komitetu wyborczego kobiet polskich, z którego w marcu 1928 r. powstał Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. Od tej chwili p. Moraczewska stoi na czele tego stowarzyszenia, liczącego obecnie 31 tysięcy członkiń, zgrupowanych w przeszło 400 oddziałach, na całym terenie Rzeczypospolitej.

Niejednokrotnie dają się słyszeć narzekania na to, że osoby, stojące na czele organizacyj, są jedynie figurantami, składając całą pracę na „niższe” szczeble.

Pani przewodnicząca Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet jest antytezą tej wady: zapracowuje się rzetelnie na swoim stanowisku, spędzając regularnie szereg godzin w siedzibie Związku. Tam też, w zacisznym gabinecie miłego lokalu (Brzozowa 2) uprzejmie udzieliła mi wywiadu dla „Bluszcza”.

— Gdy p. marszałek Szymański — mówi p. Moraczewska — zwrócił się do mnie z propozycją objęcia stanowiska ministra Pracy i Opieki Społecznej, było to dla mnie prawdziwą niespodzianką: ani myślałam o tem. Trudno też powiedzieć, aby praca taka uśmiechała mi się, jako „łatwy” zaszczyt; byłabym jednak przyjęła ją z zadowoleniem, ze względu na jej wielkie znaczenie dla naszej sprawy kobiecej. Postawiłam jednak odrazu jeden, zasadniczy warunek: ponieważ, zdaniem mojem, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej powinno być resortem *bezwzględnie*

apolitycznym, a nie terenem walk i wpływów partyjnych, musiałabym mieć, jako minister, zupełną pod tym względem swobodę działania bezstronnego, nie ulegając żadnym dyrektywom ze strony jakiegokolwiek partji, zarówno z prawicy, jak z lewicy.

Pan marszałek Szymański przyjął to moje oświadczenie z zupełnem przekonaniem, twierdząc, że godzi się całkowicie z mojem zdaniem i że sam tak właśnie wyobraża sobie działalność ministra tego resortu. Pod tym względem więc nie było żadnych trudności; wynikły jednak innej natury i gabinet nie doszedł do skutku.

— Nie umniejsza to zupełnie wielkiego znaczenia powołania do rady ministrów poraz pierwszy kobiety — odpowiadam. — A teraz pozwoli pani zadać sobie jeszcze jedno pytanie: jakie prace byłaby pani uznała za najpilniejsze i najważniejsze w swym resorcie?

— Przedewszystkiem, sanację Kas Chorych — odpowiada p. Moraczewska — sanację w duchu usprawnienia działalności tych instytucyj w interesie ubezpieczonych. Technikę Kas Chorych osobiście znam doskonale, pracowałam bowiem w tym zakresie w Galicji, co znane było p. marszałkowi Szymańskiemu. Dalej, przeprowadzenie w jaknajszerszym znaczeniu ubezpieczeń społecznych pracowników, zarówno umysłowych, jak i fizycznych, ubezpieczenia na starość i t. p., oraz *scalenie* wszystkich ubezpieczeń, wreszcie i to już w naszej specjalnie kobiecej sprawie, szerzej niż dotychczas pojętą opiekę nad dzieckiem. Opieka ta powinna obejmować ochronę *macierzyństwa* od chwili poczęcia płodu i samego *dziecka* od jego urodzenia aż do wejścia w życie jako samodzielnej jednostki; stanowić zatem powinna jednolicie przemyślany i opracowany plan, wiążący poszczególne ogniwa opieki w nierozdzielalną logicznie całość. A więc ochrona kobiety ciężarnej, domy matki i dziecka, w których powinny być warsztaty, umożliwiające kobiecie połączenie zarobkowania z wychowaniem swego niemowlęcia, żłobki, których stanowczo mamy za mało, dziecińce, ochrony, przedszkola, wreszcie świetlice i poradnie dla młodzieży po ukończeniu szkoły powszechnej. Jednem słowem, planowa, seryjna opieka nad matką i dzieckiem przez cały czas jego wychowywania.

— Plan istotnie wspaniały, zakresłony na szeroką skalę; lecz przy usilnej pracy możliwy do wykonania, a jak rzeczowy i ważny dla szerokich rzesz pracowniczych!

Miejmy nadzieję, że ta pierwsza próba dania kobiecie wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska nie będzie ostatnią.

Natalja Jastrzębska.

FELICJA KRUSZEWSKA

ANGLJA

(Zdjęcia sentymentalne)

BLACKWALL

W Blackmall ziemia ma tylko trzy kroki,
łódzie mają purpurowe żagle.
Wiatr i żagle i pierzaste obłoki
ostrym gwizdem do tańca przynagla.

W Blackmall uśmiech się staje surowy,
sól na margach rozchylonych zasycha.
Morze bije w Tamizie stalowej
i głęboko przy brzegu oddycha.

SUSZA

Susza o kędziarach z płomyków
starła dotknięciem warg
śliczną zieloność trawników
w Hyde, Kensington i St. James's Park.

Lecą liście miedziane i złote.
Umarł wiatr. Podnosić ich niema komu.
Ptak do serca wśpiewuje tęsknotę...
Gdyby był dom, czasby było już wracać do domu.

WIECZÓR W GOLDERS HILL PARK

Stary pod firanką gałązek
nenufarem kroitną, jak legendą.
Jakiż w tem dziwny związek,
że deszcz tak pachnie lawendą.

Bębnią, dudnią krople rześiste
po szerokich listkach jamoru.
Dwa łabędzie czyste, srebrzyste
świecą — dwa księżycy wieczoru.

O, mój Boże! Jakże to będzie?
Można jeszcze czuć tyle słodczy?
Śpiewać?

Chyba poproszę łabędzia,
żeby mi głosu pożyczył.

THE WARREN (Folkestone).

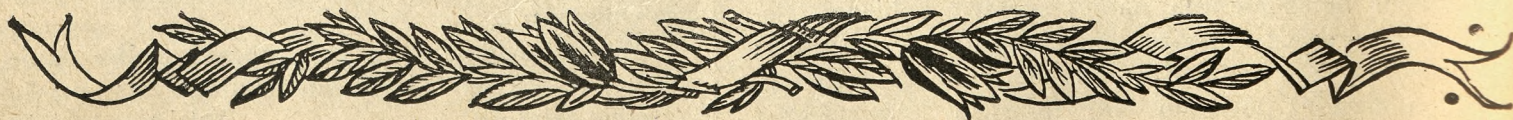
Dalekość o barmie rezedy
świat cały zamknęła dokoła.
Na rozgórzach czerwonej kredy
pachną trawy, jagody i zioła.

Kroplami ciężkimi, lepkiemi
spływa słoneczny pożar
na twarz, przytuloną do ziemi
i ramiona, słone od morza.

W dole fala jest niebieskim ogrodem,
kołysze kwiaty piany.
Czyż podobna nie zasklepić miodem
najboleśniej rany?

NA MORZU

Tu, za kręgiem ziemskiego czaru,
wszystko się czuje najprościej.
Niebo jest granicą bezmiaru,
morze jest poszumem wieczności.
Stąd już można ramiona otworzyć,
rozgarniając, jak fale wiatr słony,
całą Anglję do serca przyłożyć,
jak wielki liść zielony.



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

KUZYNKI WĄDOŁKOWSKIE

(fragment)

Zaniedbaną boczną linią kolejową dreptał moloźnie stary pociąg, wysłużony w dalekich podróżach, zżarty w żelaznych swych ścięgnach przez rdzę chorobliwą, w drewnianych mięśniach stoczony przez starość.

Plwając czarną sadzą, kaszląc ochryple, sapiąc i postępując, gramolił się koślawo po tępych szynach, wylęgających się w żółtym piasku i w żółknącym zielsku.

Zniszczone deszczami i skwarem podkłady, proste dyle, wybrakowane z innych, ruchliwszych torów, obojętnie podkładały podeń swoje zdeptane grzbiety i, ledwo się przetoczył, wpadały znowu w drzemkę.

Nawet małe domki dróżnicze, przykucnięte w szczerem polu, lub na skraju leśnych pustaci, nie zwracały nań żadnej uwagi.

Raz z niezdarnym furkotem skąpych skrzydeł przeleciała siemieniata kokosz przed samym nosem gwizdającej lokomotywy i, opadłszy na nasyp, gładkowie obszczekała wagony. A drugi raz, na skręcie, zając przeskoczył przez tor z miejsca, bez rozpędu, i skrył się w porośniętych tarniną kamionkach.

Po bokach, na rozmiękłych od jesiennej pluty łęgach, brodzili za czemś jacyś dalecy ludzie. To znowu równoległym do toru, gościńcem, podkasana aż za łydy baba wiodła na postronku krowinę ze zbitym rogiem i schlastanemi błotem różowemi dójkami u pełnego, przewalającego się między nogami, wymienia.

Z drzew, wyskakujących tu i owdzie, zlatywały skostniałe liście, a ruchliwe ściernie, zataczając szeregi sierp, rzucało ostry poblask krótko przyszyzonej rudej szczeci.

Oczy podróżnej wybiegały wciąż naprzód i naprzód, i wciąż to, czego się już uczepiły, zostawało w tyle za pociągiem.

Czasami jednak perłowe stadko gołębi, promieniste w prostopadłym słońcu, a matowe w ukośnym cieniu, spadało skądś z wysoka i, znęcone pierzastym obłoczkiem dymu, towarzyszyło przez jakiś czas pociągowi, jak garść dobrych słów, rzucona podróżnym na drogę przez mieszkającego w niebiosach Pana Boga.

Oczy podróżnej w takich chwilach nabierały blasku, a usta uśmiechały się. I jeśli wtedy z pociągiem zrównała się jakaś biała wieś, albo rozrzucone nad ciemno-niebieskimi kałużami żółte miasteczko, podróżna stawiała w oknie i z żywością patrzyła w otwarte naprzestrzał drzwi domostw i uchylone okna.

Z wysokiego nasypu widziała dokładnie wnętrza: kominy, obstawione garnczkami z dymiącym jadłem, dającym ciału chuć i siłę; łóżka, rozepchane pościelą, rozprężającą nocami krew w zaskorupiałych przez dzień żyłach; upiory czerwonych pelargonij w glinianych doniczkach i wreszcie — ludzi.

Ich widzi dokładniej, niż wszystko inne.

Oto, na przykład tu, w tym szabrowanym domu, tęga, przystojna kobieta fastryguje przy oknie wyspkę z czerwonego zapachu; a oto druga, w mieszkaniu nad nią, umywa się do pasa za przepierzeniem w kretonowe ptaki...

Cóż z tego jednak, że na moment widoczne są dokładnie najtajniejsze nawet czynności tych ludzi? Kto są oni sami? Co czynili przed chwilą, nim zostali spostrzeżeni z okna wagonu? I co czynić będą za chwilę, gdy pociąg minie ich domostwa?...

Tego podróżna nigdy się nie dowie...

Młoda kobieta pociemniałym spojrzeniem obejmuje drzewa, uciekające za oknami wagonu, domy i ludzi. Nie czuje jednak do nich żalu. W tej jednej chwili zrozumiała nagle to, czego dotąd nie mogła zrozumieć: swoje życie! *Prosto oto przesunęła się przez świat w zamkniętym szczelnie przedziale pociągu.*

Uśmiechnęła się łagodnie. Wrócił jej spokój.

Był już wieczór, gdy pociąg stanął na małej stacyjce wśród podkrzesanych sosen, daleko od miasta.

Słońce zachodziło czerwono, na wiatr. Ziemię czuć było surowizną. W powietrzu unosił się śniady dym jałowcowy. Białe, ostry przymrozek cienkim nalotem okrył wszystkie trawy i niektóre grubsze grudki żwiru.

Podróżna, wyszedłszy z pociągu, szła skrajem drogi, wiodącej przez ugór do miasteczka.

Oprócz niej wysiadł tu tylko jeden pasażer, wysoki, szczupły mężczyzna w szarym płaszczu i takimże kapeluszu.

Widziała, jak skręcał za nią z wybrukowanego podjazdu na piaszczystą drogę; ale zaraz potem zgubiła go z oczu, co było dziwne, bo w pustce płaskich pól nie mógł ujść wzroku nietylko nikt żywy, ale krzaki łopianów i ostów wrażały się w pamięć ze wszystkimi swymi kolcami, rzepiem i szczątkami cienkich, białawych żył, wyprutych z wykruszonych liści.

W miasteczku bez wielkiego trudu odszukała mieszkanie kuzynek Wądołkowskich. Piętrowy, muryrowany budynek z sztyldem „Miodownik — dawniej Wysypka“, a zaraz obok niziutki, oszklony dworek

w porzeczkowym sadku, obrzeżonym szpalerem z karagany.

Podróżna weszła przez bramkę, wiszącą na jednej zawiasie, i zapukała do szklanych drzwi, zamkniętych od wewnątrz na klucz, tkwiący w zamku.

Otworzyła jej mała garbuska.

Przybyła domyśliła się, że jest to młodsza z Wądołkowskich, panna Kazimiera.

Tamta zdawała się być uprzedzona o jej przybyciu.

— Co za gość niespodziewany! — wykrzyknęła piskliwie i raptem dokończyła niskim basem: — Niechże kuzynka wejdzie.

Przybyła wzdrygnęła się.

Szła teraz za garbuską przez wąski, jak nora krecia korytarzyk, zastawiony od dołu do góry stosami pustych doniczek, zawalony rydlami i grackami o ostrzach, zwalanych ziemią i przyschlą krwią chwastów.

Minęły jakieś okratowane okienko, zionące stęchlizną i myszami, przeszły obok drzwi, z których przez białe szpary buchał odór rozgotowanych kalafjorów, i znalazły się w dużym pokoju, pełnym luster w rzeźbionych, czarnych ramach, szydełkowych serwetek i obrazków, wylepianych z brzozonej kory, mchów, wrzosu i zasuszonych liści.

Z ceratowego fotela pod wielkim oleandrem wstał najpierw olbrzymi, brudny biały kot i ciężko zeskoczył na podłogę, a następnie wyjrzała na pokój siwa głowa w czarnej, dziurawej siatce, sztywna i niezdarna, jak galka, ukrecona z waty.

Przybyła uczuła dziwne zduszenie w piersiach. Przeszło to jednak równie nagle, jak przyszło.

Już spokojnie podeszła do fotela i spytała naprawdę troskliwie i bardzo serdecznie:

— Jak zdrowie babci?

Tak zbliżona babka Domicela istotnie była martwą szmacianą kukłą, odzianą w zetlałe, a jeszcze szeleszczące kanausy.

I znowu wnuczka z troskliwością i naprawdę serdecznie spytała po raz drugi:

— Jakże ci jest, babciu? — i popędliwie ucałowała nabrzmiałą rękę starej kobiety, zwisającą z poręczy fotela, jak miękki woreczek, uszyty z grubej białej skóry.

Pani Domicela patrzyła, ale nie odpowiadała.

— Niechże babka nie udaje! — zzymnęła się garbuska. — Przecież babka widzi, że to Nika. Poczeka te komedje?

Nika zrobiła się szkarłatna z przykrości:

— Proszę, kuzynko, zostawić nas same — wykrztusiła, zdławiona cuchnącą zgrozą.

W mętnych oczach starej kobiety mignęły zło-

śliwe błyski. Parsknęła cichym, drapiącym śmiechem:

— Słyszysz, Kaziuńciu? „Zostaw nas same“ na chwilę. Nie bój się... *Mirtowi w oknie nic się nie stanie...*

Jawna drwina była w tych ostatnich słowach starej, ale Nika zdumiała się, widząc taką bladłość, jaka wystąpiła na twarz garbuski. Dolna, końska szczeka opadła prawie na piersi. Członki drżały. Probowała się roześmiać, lecz zapiała dziwnie piskliwie.

Nika poszła za jej skrytym, niespokojnym wzrokiem i ujrzała na oknie doniczkę z mirtem. Mirt był niezwykle bujny, ale ze wszystkich stron poobskubywany.

— No, idźże już sobie, Kaziu — usłyszała Nika głos pani Domiceli.

Teraz w głosie tym była skrucha i prośba o przebaczenie.

Garbuska wyszła bez słowa.

Zostały same.

Pani Domicela przemówiła pierwsza:

— Nie sądzisz chyba, abym uwierzyła, że przyjechałaś po to, aby mnie zobaczyć.

Powiedziała tak i w tem nie było ani goryczy, ani żalu. Była tylko obojętność.

Nika uczuła nagle, że to, z czem przyszła, nie ma tu żadnej wartości, jednak powiedziała:

— Czyż naprawdę nie chciałabyś, babciu, wrócić tam, do naszej dawnej willi w Uzdrowisku?... Zamieszkałybyśmy razem...

— A, — mruknęła pani Domicela. — Więc to prawda, że mąż cię rzucił?

Nika milczała, coraz nieznośniej dziwiąc się sobie, jak mogła przyjść tu z tym niedorzecznym projektem, a babka mówiła dalej:

— To samo twoja ś. p. matka. Żeby była kochała twego ojca nie po swojemu, a...

Nika szybko wycisnęła uprzejmy uśmiech na poblądłe wargi:

— Dajmy temu pokój. — I, niewiedomo czemu zmuszając się jeszcze do szczerości: — A jeśli chodzi o mnie i o Michała, to...

— Ja nie nikomu nie radzę — przerwała babka Domicela. — Każdy ma swój rozum.

Nika uczuła tępe znużenie, a zarazem ulgę.

— To już chyba wszystko — pomyślała.

Usiadła przy stole i zaczęła przeglądać stare czasopisma.

Wielki, biały, brudny kot wylazł z pod stołu i ciężko wskoczył na fotel.

Babka Domicela drzemała, czy też udawała, że śpi. Ściemniło się.

Mysz gryzła coś głośno w stronie pieca.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

ROZMOWY Z PANEM MĘŻEM

Oczywiście, nie ze swoim, z cudzym... A, by nie było później zgorzienia, odrazu powiem, że — z cudzymi. Z wielu, wielu mężami dyskusje i od wielu zwierzenia — ale niechaj mi krzywi nie będą, że zdradzam ich tajemnice.

Bo któż tu pozna siebie? skoro na imię im setki tysięcy...

Młody, młodziutki małżonek, cały przejęty swą ważnością wobec równie młodej żony.

— Mam prawdziwy kłopot. Mojej żonie zachciewa się śpiewać! Ja wiem dobrze, że nic z tego nie będzie, że ona nie ma głosu, że nie przeprowadzi studjów, nie dojdzie do niczego; ale wmówiła sobie, że będzie śpiewaczką... Co tu robić? To nie ma sensu, będzie miała tylko rozczarowania.

— A czem dotychczas zajmowała się pańska żona? Co robi wogóle?

— Cóżby miała robić? Jest moją żoną. Trochę domem, oczywiście, zająć się musi, ale się nie pracowuje: mamy dwa pokoiki i, właściwie, teściowa gospodaruje. Żona ma książki, fortepian, radjo; może sobie pograć, poczytać; chodzimy do kina, ma moje towarzystwo...

— No, to bardzo miłe... Dzieci państwo nie macie. Może pani studjuje?

— Nie.

— To rzeczywiście dziwne, że pańskiej żonie jeszcze czegoś się zachciewa, poza pańskim towarzystwem, gdy pan wróci z biura. Ja na jej miejscu nietylko śpiewałabym, choćby fałszywie, ale wylabym od rana do wieczora.

— Pani ze mnie żartuje...

— Wcale nie. A pan *na serjo* wyobraża sobie, że młodej kobiecie, jak pańska żona, podobna egzystencja ma wypełnić życie? Niech mi pan powie, jak pan czułby się w jej sytuacji? Czyby pana zadowoliło „trochę domu“, trochę książek, żadnego zajęcia systematycznego i celowego, a w nagrodę... towarzystwo żony? Nie ma pan innych upodobań? Dążeń?

— Ależ ja bardzo kocham moją żonę! Ma się rozumieć, że nie mogę żyć tylko dla niej... mam obowiązki, mam swoje prace, muszę widywać się z ludźmi...

— Ma się rozumieć. A ona, pańska małżonka?

— No, to co innego...

Gdyby to był stary małżonek, ograniczyłabym się do wzruszenia ramionami — przynajmniej w duchu, jako że to gest niegrzeczny. Takiemu nie już nie pomoże. Ale, że pan mąż był, co się zowie, młody, więc pozwoliłam sobie na parę słów:

— Uważa pan jednak swoją żonę za normalnego człowieka? Tak? To dobrze. Każdy, jaki taki człowiek musi mieć jakiś cel w życiu i przystosowanie swoich dni do ogólnych dążeń świata, czy swego społeczeństwa. I panu tak się zdaje? Każdy musi czemś wypełnić swoje życie, oddać swe siły w służbę czegoś, co ma wyższą w jego oczach wartość. Ale pańska żona powinna żyć w próżni, pod szklanym kloszem, który wolno uchylić tylko panu i tylko w tej mierze, jak się to panu będzie podobało — i tylko wtedy, kiedy pan to uzna za dobre dla siebie. Żona ma być zadowolona i szczęśliwa. Doskonała metoda! Znakiem! Prędszej, czy później doczeka się pan, że pańska żona stłucze poprostu szkło i wyjdzie sama (bez pana) na powietrze świata, choćby nawet deszcz padał. Albo, co będzie znacznie gorsze — wydłubie sobie jednym paznokietkiem maleńką szparkę w kloszu, tak małą, że pan tego nie zauważy, ale która wystarczy akurat na to, by przez nią wyciekło bezpowrotnie wasze szczęście.

Słuchał z oczami szklanymi. Pewnie mnie nie posłucha.

— Mam kłopot z żoną. Była dotychczas miła, łagodna, słodka... a od jakiegoś czasu zrobiła się opryskliwa i ironiczna. Ja tego nie znoszę. Ciągłe ma do mnie pretensje. Zaczynam od niej uciekać; robi się coraz gorzej, niewiadomo dlaczego.

— Dużo czasu poświęca pan żonie?

— Jak każdy z nas. Bywam w domu na obiedzie i wieczorem. Mam przecież pracę, muszę zobaczyć się z ludźmi. Chyba żona nie może wymagać, bym się nią zajmował, albo bawił rozmową czy flirtował? Nie może mieć chyba pretensji do miłości, skoro jest moją żoną. Ma wszystko...

— Pan jest potwór! Przecież to młoda i ładna kobieta! Pewnie pana kocha. Przecież i jej miłość wręcz się należy!

— Ależ to moja żona! Na Boga, żona! Trudno zrozumieć kobiety. Więc pani może przypuszcza, że ona dlatego zrobiła się nieznośna dla mnie, że mnie kocha? Jak to pojąć? Jedyna rada — uciekać.

— Jedyna mądrość mężczyzny. Gdy czegoś nie rozumie w kobiecie — ucieka. Poczem prawi o swym zawodzie, o hysterji kobiet (dawniej nazywało się to „sfinks kobiecości“) i że wogóle kobieta, to tylko chwila zabawy... Ale, żeby ten intelektualista zastanowił się przez chwilę, obejrzał się na tego człowieka, który obok niego żyje i może cierpi — nie, to się nie zdarza. Ucieka — pan też ucieka i życzę panu szczęśliwej drogi!

To już nie kłopot. To zmartwienie. To tragedia. To oskarżenie (zdradziła — porzuciła go).

— Ja ją tak kochałem! Dogadzałem. Jak się to mówi, na rękach nosilem. Miała wszystko, czego chciała. O nic nie potrzebowała się troszczyć...

— I odeszła od pana?

— Zabrała mi dziecko, to gorzej... Ale i ona... Ja ją tak kochałem, ja ją kocham!

— Mówi pan, że nie miała żadnych trosk, ani niedostatków? Właśnie dlatego...

— Ależ, miły Boże! O wszystko się troszczyłem. Miała fatalaszki, jakie chciała, wygody, przyjemności. Nie lubilem tylko, gdy wyjeżdżała, nie umiałem być w domu sam, bez niej... A i z dzieckiem nie miała żadnych kłopotów: zawsze niańki i wychowawczynie. Gdy córeczka chorowała, to nawet ja sam więcej przy niej siedziałem, niż żona, nie chciałem, by się męczyła... Nic nie potrzebowała robić...

— No, więc właśnie dlatego. Pan sam mówi: „nic nie potrzebowała robić“, nie miała żadnych trosk...

— Przysięgnę, że tak.

— To jasne. Sam pan chciał, by od pana odeszła.

— Ja chciałem, by mnie tak skrzywdziła?!

— W każdym razie zrobił pan wszystko, albo bardzo dużo, by tak się stało. Jakżeż można pozwolić człowiekowi, by żył bez zajęcia, bez troski, bez trudu?... to znaczy bez celu, bez możliwości wyładowania swych sił. Czyż sam pan nie stworzył potworka z tej kobiety, skoro chciała, lub mogła przez długi czas przystosować się do pańskich poglądów i prowadzić takie straszne, takie bez sensu życie — czy sam pan nie zaszczerpił w niej tego potwornego egoizmu, jaki obrócił się teraz przeciwko panu i zranił go do głębi?

Wyhodował pan w żonie jakiś wręcz nieludzki stosunek do życia, świata i ludzi. Człowiek, który się o nic nie troszczy... ależ to wbrew naturze! O nic nie walczy, niczem się nie męczy! Zaprzeczenie istoty życia, odebranie mu 9/10 jego wartości i smaku...

— Mówi pani rzeczy potworne. Ja nie chciałem, by moja żona cierpiała, by się męczyła, lub miała kłopoty materialne. Byłem dobrym mężem tylko...

— Może dobrym mężem... ale nie dobrym człowiekiem, nie dobrym towarzyszem kobiety. Traktował ją pan, niby kruche cacko, a ona pokazała, że jest o wiele mocniejsza od pana. Kazał jej pan egzystować, jak lalce, a ona pragnęła ruchu i zmagania się. Nie umiała — dzięki temu, że nie miała trosk — zrozumieć troski, pańskiej troski; cudzy ból był jej obcy, bo sama nie знаła bólu. Postąpiła bez sensu, bo nigdy nie wymagał pan od niej zastanowienia się i pomyślenia nad sprawami życia, by się nie trudziła. Cemu nie zaznała goryczy, rozkoszy działania i wysiłku walki? Cemu nie chciał pan, by była prawdziwym człowiekiem? Niewątpliwie, traktowałaby i pana wówczas, jak człowieka, nie jak swą zabawkę. Czy pan daruje mi taką szczerość?

— Jestem zbyt zgnębiony, by mnie cokolwiek dotknąć mogło: ale nie przypuszczałem, by kobiety miały taki sąd o rzeczy, jak pani...

— A to takie proste. Czy czytuje pan pisma kobiece, artykuły „Bluszczu“?

— Nie zdawało mi się to potrzebne. Ale może trzeba...

— Myślę, że bardzo. To droga do poznania tej nieznannej dręczycielki, tej najmilszej przeciwniczki. Posłuchać, co ona myśli, czego chce, jak rozumuje... I tyle przez to dla samego siebie osiągnąć korzyści...

M. ZNATOWICZ-SZCZEPAŃSKA

„DRUGS'Y“ I „PIGGLY-WIGGLY“

Nie powiem, żeby był przyjemny, ale często jest pełen zabawnych epizodów ten okres czasu, kiedy przybysz z obcych stron osiedla się w mieście, gdzie wie, że będzie musiał żyć i radzić sobie, mimo, że nie zna ani języka miejscowego, ani ludzi, ani warunków.

Jeśli komuś (jak niżej podpisanej) życie upływa na przenoszeniu się z miejsca na miejsce — to mimo woli urabia sobie pewną teorię wzywania się w otoczenie. Wie, że w pierwszych dniach wszystko wokół tonie jakgdyby w mgłę: ulice są jednakowe, sklepów nie można rozróżnić, tramwaje i autobusy jadą gdzieś z pewnością — ale w jakim kierunku?... O przesiadaniu się z jednej linii na drugą nawet pomyśleć trudno... Jedynym ratunkiem dla nieszczerzego nowicjusza, gdy już ze szczerem popłaczą mu

się wszystkie drogi, jest taksówka; ale nawet wtedy, kiedy z uczuciem niezmiernej ulgi w nią wsiada, kołaczę mu się w głowie myśl: czy aby dobrze jadę? Jakoż — okazuje się, że był o 5 minut drogi piechotą od swojej kamienicy...

Trudność porozumienia się w sklepach ze sprzedającymi staje się powodem najparadniejszych omyłek. Biedny „foreigner“ poci się, używa gestów, mimiki, ołówka, wreszcie, nie dostawszy, czego chciał, wychodzi, przeklinając w duchu tępotę Bogu ducha winnej obsługi sklepowej. Nazajutrz widzi, że w tym kraju — tam, gdzie sprzedają igły i nici, nie mają, dajmy na to, zeszytów, jak u nas w każdym sklepiku na Złotej, czy Żórawiej; a on właśnie żądał zeszytu i notabene w kratkę — czego tu wogóle nie znają. Trudno, stało się.



Jak amerykanki załatwiają sprawunki w magazynach „Piggly-Wiggly”

Zajmuje go teraz co innego: jest właśnie na tropie ujranych kiedyś w przełocie grzybów suszonych, takich samych, jak w Polsce. Ale — gdzie to było? Przysięgłbyś, że tuż za rogiem, obok skromnego, trzeciorzędowego kina; tymczasem tam wszelkimi możliwymi sposobami dają mu do zrozumienia, że, jak świat światem, sprzedawano tu wyłącznie pieczarki w zgrabnych, plecionych kobiałeczkach, a o innych grzybach nikt nigdy nie słyszał!

Widzę, że mimowoli zaczynam brać przykłady z dopiero dla mnie minionych „początków” moich w Chicago, więc dalej stanę już otwarcie na tym gruncie. Jak to miło, np., wsiąść w Chicago w kolej nadziei w bardzo oddalonym od domu punkcie miasta i pojechać w zupełnie przeciwnym kierunku, a spostrzegłszy się i wsiadłszy z powrotem do właściwego wagonu, przekonać się, że następna stacja wypada o dziesięć mil poza domem w drugą stronę. Godzina obiadowa minęła, mąż czeka, dzieci czekają, ciemno, wietrzno; jest się zmęczoną, jak nie wiem co, a w dodatku wizyta, na którą trzeba było jechać tak daleko, nie miała w sobie nic ciekawego.

Bywa coprawda i tak, że komizm sytuacji wynagrodzi wszelkie irytacje, a czasem zdarzy się coś bardzo przyjemnego, szczególnie tu, w Chicago, gdzie co szósty człowiek mówi po polsku. Telefonujesz np. w pocie czoła, poszukując pod przeróżnymi numerami pani, która nazywa się, dajmy na to, Jankowska. Jankowskich w książce telefonicznej jest stu pięćdziesięciu... Telefonistka dużo mówi, ale cóż z tego? kiedy

tak prędko i tak po amerykańsku... wreszcie niecierpliwi się, żąda jakichś informacyj... Tłumaczysz jej usilnie, coraz rzewniej, wyszukana angielszczyzną, o co ci chodzi... Nagle — o anielskie objawienie! — w rozmowę wpada melodyjny akcent czysto krakowski:

— Pani konsulowa pozwoli, że dopomogę, jestem przypadkowo w biurze, słyszę, że pani ma kłopot...

Po chwili telefonistka zaspokojona, właściwa pani Jankowska się znalazła... Z wylaniem i radością dziękujesz nieznaną wybawicielce, a myślisz sobie: gdzież to ja jestem? W trzymilionowym mieście Chicago, czy w Kielcach lub Królewskiej Hucie, gdzie tak łatwo być znaną po kilku miesiącach pobytu?...

Trzeba bowiem wiedzieć, że jest tu w Chicago wiele takich rzeczy, które na nasz skromny europejski rozum powinny wyglądać wprost przeciwnie. Na przykład — sklepy apteczne. Pełno ich na wszystkie strony. Nieraz z czterech, zbiegających się wkoło jakiegoś placu ulic — trzy są zajęte na rogach przez t. zw. „Drugs Store”. Wyraz „drug” oznacza lekarstwo. Lepiej jednak szukać wszystkiego innego, niż lekarstw w tych „aptekach”. Pamiętam, przed laty, byłam z rodzicami pod Ostrowcem („gubernji” radomskiej) na wakacjach i całe lato bawiliśmy się tem, że lody kupowało się w Ostrowcu w aptece — robiła je pani aptekarzowa.

Jakież było moje zdumienie, gdy, wszedłszy poraz pierwszy do „drugs’a”, zobaczyłam przy długich, białych stołach kilkanaście osób, siedzących na wy-

sokich taburetach i smacznie pożywiających się rozmaitemi dobrymi rzeczami. Jedni pałaszowali zupę w małych miseczkach, inni sałatki, sandwich'e z kawą, a inni — lody, najprawdziwsze lody, ukochane przez amerykańców ice-cream'y w przeróżnych postaciach (nawiasem zauważę, że raz skosztowawszy t. zw. „ice-cream soda“, przysięgam sobie nigdy tego nie jadać!).

— Dobrze — myślę sobie — to jest lokal śniadankowy, a gdzie apteka? — Podchodzę do jednego stołu — papierosy, cygara w ogromnym wyborze. Do drugiego — papier listowy i przybory piśmienne, jakieś figielki, serduszka, figurki. Dalej — czekolada, cukierki. Jeszcze dalej — znowu kucharz w białym berecie, zajęty rozlewaniem smakowitych napojów. Wreszcie, w samej głębi sklepu, szafy apteczne i różnobarwne etykiety specyfików.

Niezawsze jednak jest bezpiecznie dać do wykonania jakąś bardziej skomplikowaną receptę w „Drugs - Storze“. Bowiem w Ameryce „każdy jeden“, jak się tu po polsku mówi, może sobie taki „drugs“ założyć. Niema nad tem kontroli, nie potrzeba koncesji i niema żadnych ograniczeń. Aptek zaś — w europejskim znaczeniu tego wyrazu i tak, jak w Europie, urządzonych — jest w olbrzymim Chicago... cztery (dosłownie). Ha! Co kraj — to obyczaj — powiedziałby nasz kochany Kornel Makuszyński, a my zgadzamy się z nim całkowicie i dodajemy: co „drugs“ — to nie apteka...

Drugim przeprawadnym, a jednocześnie przemitym sklepem w Chicago jest „Piggly-Wiggly“. Co ta nazwa znaczy — nie powie Wam najrodowitszy amerykańczyk. Prostu, nie znaczy nic. Komuś się tak kiedyś zabawnie wymówiło i... zrobił na tem majątek. Często to bardzo w Ameryce przypadek, ale podobno rzadko przytrafia się europejczykowi. Znadto mamy na to skomplikowaną umysłowość...

Otóż „Piggly-Wiggly“ — to jeden z rodzaju sklepów łańcuchowych, rozsianych po wszystkich większych ulicach miasta, jak National Tee lub Atlantic-Pacific. Słyszysz się tę nazwę w rozmowach pań, bardziej już w Chicago zadomowionych, i z początku, oczywiście, brzmi ten wyraz, jak wiele innych — egzotycznie i jakoś kłopotliwie. Ciągłe ma się człowiek zapytać, co to właściwie znaczy i co to tam trzeba kupować, ale w chwili odpowiedniej ani rusz przypomnieć sobie nie może tej nazwy; to znów — o tyle rzeczy właśnie pytał, że wstyd mu nudzić o jeszcze jedną informację...

Wreszcie któregoś dnia, poszukując, dajmy na to, oliwek suchych, a nie w słoiku, wchodzi się przypadkiem do sklepu, niczem napozór nie różniącego się od innych. Aliści we drzwiach zastępuje drogę krzyżak drewniany, taki, jaki u nas widzimy na głównej poczie lub w P. K. O. Pchasz go i pchasz ze złością — ani drgnie. Aha! Tuż obok jest drugi. Ledwoś go dotknął, obraca się, jak po maśle. No tak, bo tamten służy do wyjścia. Zaraz za progiem dróżka, utworzona przez żelazne barjerki. Oglądasz się i uśmiechasz zachęcająco do sprzedającego. Nie zwraca na ciebie najmniejszej uwagi. Nieuprzejmość w amerykańskim sklepie — to coś niezwykłego... Ktoś popycha cię w plecy, musisz iść naprzód. Ledwoś się ru-



Tak mygląda amerykański „skład apteczny“.

szyl, włożą ci same pod ręce, nastroszone z prawej strony w przegródce, jak dla żrebaków, duże kosze. Bierzesz jeden, prawie nie myśląc, i idziesz dalej wśród żelaznych sztachetek.

Jesteś teraz w środku sklepu. Tu masz puszki z konserwami, tam jarzyny i owoce, dalej szczotki i wszelkie przybory do porządków domowych, papier, mydła, korzenie, jaja, sznury i gwoździe, cukier, sól i t. d. i t. d. — wszystko, co przydać się może do codziennego użytku. Widzisz, że inni biorą, co im trzeba, i wkładają do kosza. Robisz tak samo i wreszcie dróżka między sztachetkami doprowadza cię do stołu, za którym, uśmiechnięty i przychylny, urzęduje duży, ładny chłopiec o silnych rękach i wygimnastykowanych barach w kolorowej koszuli. Podajesz mu kosz. Wyjmuje zeń wszystko pokolei, pakuje i oblicza, spoglądając na ciebie z nieklamną sympatją. Po chwili pusty kosz leci z furkotem ponad twoją głowę do swojej przegródki, a ty wychodzisz triumfalnie przez właściwy tym razem krzyżak, czy wiatrak we drzwiach i dopiero za progiem spoglądasz na szyld sklepu: „Piggly-Wiggly“!

Otóż i wytłumaczenie magicznego słowa! Ciężko dźwigać wielką torbę, naładowaną po wierzach sprawunkami, ale ma się zabawne wrażenie, że wszystko zrobiło się jakoś jakby samo. Odtąd przez czas jakiś załatwiasz swe zakupy tylko w „Piggly-Wiggly“ — i jak tanio! A w rozmowie ze starymi gospodyniami wtrącasz, niby nic, zdanie: — te rzeczy najlepiej brać w „Piggly-Wiggly“... — i jesteś bardzo dumny ze swej mądrości!

Po kilku długich miesiącach pobytu na nowem miejscu, tego rodzaju wrażenia stają się, oczywiście, coraz radsze. Miasto rysuje się teraz przed oczami obcokrajowca w linjach czystych i wyraźnych; wiadome stały się kierunki i lokomocje, poskracały się odległości. I leż jednak jeszcze niewiadomego naokoło! I ile to razy, przez lat kilka, jakie zapewne przyjdzie się tu spędzić, szepnie sobie człowiek w duchu, zaskoczony niezwykłością zdarzenia czy stosunku: — a toż co za jakieś znowu „Piggly-Wiggly“?

Chicago, 1930 r.

ZMOWA PRZECIW KOBIECIE

Opinia Francji, a za nią i całego świata, poruszona została sensacyjną sprawą pani Marty Hanau, jednej z najtęższych głów finansowych francuskich. Niezwykła ta kobieta wzięła sobie za zadanie, poprostu... stabilizację franka. W chwili, gdy „najwyższe” sfery finansowe i polityczne francuskie nie wahały się niemal w czambuł spekulować na inflacji, zarabiając kolosalne sumy na funtach i dolarach i obniżając kurs franka, p. Hanau założyła pismo „Gazette du Franc”, w którym odwołała się wprost do narodu francuskiego, o nabywanie rodzimych papierów wartościowych i podtrzymanie kursu krajowej waluty. Podniosła przytem stopę procentową od składanych do „Gazette du Franc” kapitałów na 8 procent, gdy wówczas wszystkie wielkie banki płaciły od drobnych wkładów 3 procent, zarabiając jednocześnie miliony na spekulowaniu temi wkładami w grze inflacyjnej.

Skutek akcji p. Hanau był nadzwyczajny: wszyscy drobni kapitaliści (pamiętajmy, jak francuzi słyną z oszczędności), którzy, nie umiejąc, lub nie chcąc spekulować na walutach zagranicznych, tłamsili swoje grosze po kątach, rzucili się do przedsiębiorstwa energicznej kobiety. W przeciągu paru lat p. Hanau rozporządzała kapitałem 150 milionów franków, „Gazette du Franc” zaś przemieniona została na „Gazette du Franc et des Nations”, gdyż fundusze konsorcjum zaangażowane już były w imprezy międzynarodowe. Konsorcjum p. Hanau korzystało z poparcia rządu, we wszystkich zmianach gabinetów; najwybitniejsi ministrowie, politycy, finansisci, posłowie francuscy i zagraniczni pisywali do „Gazette du Franc et des Nations” i brali udział w imprezach pani Hanau.

I oto nagle w grudniu 1928 r.; jak piorun z jasnego nieba, spadła wiadomość, że w „Gazette du Franc” przeprowadzono rewizję, zaaresztowano miljonowe depozyty i... samą p. Hanau.

Zaaresztowano kobietę, która *nie zbankrutowała*, płaciła wszystkie swe zobowiązania i położyła niezwykle zasługi.

Dlaczego?

Odpowiedź na to dać może gruntowna znajomość francuskich, a specyficznie paryskich, stosunków finansowo-giełdowych i politycznych. W tym olbrzymim splocie interesów całego świata, gromadzących się w stolicy Francji, w zbiorowisku różnego gatunku ludzi z całej kuli ziemskiej, interes nie jest tylko zwykłą grą zarabiania pieniędzy, przez wykorzystanie, lub bodaj podejście strony przeciwnej, ale staje się, niestety, zbyt często kampanją niszczenia niewygodnych osób i ich działalności, niszczenia — najniegodziwszemi środkami i bez żadnego względu na zasługi. Robi się to czasem ze względów politycznych, częściej osobistych najgorszego gatunku. Do wykonania zaś tych planów każdy znajdzie za pieniądze usługną prasę i najrozmaitsze ciemne osobistości, żerujące na drodze szantażu.

Tak się stało i tym razem. Dla wszystkich banków i banków francuskich, dla wielu polityków, dziennikarzy i aferzystów z pod ciemnej gwiazdy działalność p. Hanau była katastrofą. Puszczono więc w ruch oszczerstwa prasowe z jednej strony, z drugiej zaś zaczęto szantażować p. Hanau, wymuszając bajątkowe sumy za niepodawanie tych wiadomości w prasie. We Francji weszło w zwyczaj, iż każda wzmianka giełdowa i finansowa jest zapłacona przez odnośne konsorcjum finansowe, można więc sobie łatwo wyobrazić, ile kosztowała p. Hanau kampanja w pismach, które trzeba było skłonić do poparcia jej akcji, lub powstrzymać od szkodenia jej. Na wszystko to jednak umiała wystarczyć prawdziwie genialna finansistka. Nie mogła tylko przezwyciężyć wielkiej zmywy banków, dla których zniszczenie „Gazette du Franc” stało się sprawą bytu.

Dziwnym sposobem, który rzuca bardzo oryginalne światło na administrację francuską, nałożono areszt na przedsiębiorstwo p. Hanau, pomimo zwróconej przez nią do rządu prośby

o zbadanie stanu finansowego konsorcjum i wbrew opinii ministra spraw wewnętrznych!

To, co działo się później, było naturalnem następstwem pierwszej przyczyny: konsorcjum, którego twórców i członków aresztowano, musiało upaść. Trochę mniej naturalne wydają się metody, jakimi postępowano z tak zwaną „masą upadłości”: oto syndyk jej i rzeczoznawcy „zgubili” przez pomyłkę wiele milionów z pozostałych kapitałów i cudzych depozytów!

Z szeregu osób, mężczyzn, aresztowanych w tej sprawie, uwolniono prawie wszystkich, nikomu bowiem nie dowiedziono winy. W więzieniu pozostała tylko pani Hanau. Trzymano ją przez półtora roku, odmawiając rewizji procesu, pomimo, że najwybitniejsze osobistości i stowarzyszenia interpelowały w jej sprawie.

Wreszcie p. Hanau uciekła się do nadzwyczajnego środka: rozpoczęła głodówkę, którą miała siłę prowadzić przez 23 dni.

Po niesłuchaniu brutalnych próbach odżywiania przemocą w więzieniu, przewieziono nieszcześliwą do szpitala. Tam, ta umierająca istota zdobyła się jeszcze na opór: przegryzła parokrotnie gumową rurkę, przez którą chciano ją karmić i wreszcie... uciekła przez okno szpitalne z powrotem do więzienia.

W tym samym czasie rozpoczęły swą działalność jakieś uczciwsze wpływy, zmuszone pracować w ukryciu i niezwykleimi sposobami: z sądu, który odmawiał rewizji procesu, wykradziono akty sprawy, mające doniosłe znaczenie dla wykazania niewinności oskarżonej. Jednocześnie zaś w ministerstwie spraw wewnętrznych postanowiono ponowne rozpatrzenie sprawy.

Trudno twierdzić, że to świadome, skandaliczne zrujnowanie świetnej finansistki jest, jako takie, jedynie zmywą mężczyzn przeciw kobiecie; głównymi czynnikami sprawy były niesłuchanie zabagnione stosunki paryskiego finansowo-politycznego środowiska. Że jednak p. Hanau podlegała tak specjalnie ostrym represjom, z racji swej płci, staje się jasne, gdy zważymy, ilu mężczyzn odpowiadało przez ten czas z *wolności*, za notoryczne oszustwa i szantaże, popełniane nie tylko na prywatnej własności, lecz nawet na skarbie państwowym francuskim.

Sąd orzeknie i, miejmy nadzieję, sprawiedliwie, jak pani Hanau prowadziła swoje przedsiębiorstwo; w każdym razie można stwierdzić już dziś, że wykazała ona niezwykle siłę charakteru w obronie sprawy, którą uważa za sprawiedliwą. W. Ł.

Z TEATRÓW

Teatr Wielki: „Legjon” Wyspiańskiego — scen dwanaście. Reżyserja Emila Chaberskiego, dekoracje i ubiory Wincentego Drabika, ilustracja muzyczna Lucjana Marczerowskiego.

Niewątpliwie każdy z premierowych widzów „Legjonu” przyniósł ze sobą swoje własne przeżycia wewnętrzne, wywołane lekturą tych scen, potężnych i wstrząsających, jak wizje Sykstyna. Tu, na scenie Teatru Wielkiego, zagrał się dramat w dramacie. Nastąpiła konfrontacja, chwilami przechodząca w starcie i rozłam, dwóch czynników: subiektywnej koncepcji widza z realizacją sceniczną Chaberskiego. W tej powodzi barw, światła, gestów, tłumnych lamentacji i wieszczych monologów, zmaterjalizowanego mistycyzmu i zbrylowanego marzenia — prawdziwy Wyspiański chwilami rozplywał się, jak w wodach Lety.

Już w pierwszej odsłonie widz był zaskoczony pewnemi licencjami układu technicznego, niezgodnemi z tekstem. Słowo Wyspiańskiego, nierozzerwalnie związane u niego z kształtem plastycznym, straciło przez to na właściwym wyrazie. Wyczuwało się tendencję reżysera i dekoratora do przeniesienia akcji wizyjnej na grunt realny, do uzmysłowienia apokaliptycznego misterjum zapomocą środków operowych (malowany Mendog, cwałujący, jak wagnerowska Walkirja, przez kopułę św. Piotra).

Dzięki niebywalej dynamice i reinhardowskiej wprost pomysłowości w operowaniu tłumami (300 osób), największe wrażenie wywierały sceny zbiorowe: scena w katakumbach (potęgą gestu i grozą wyrazu przypominająca Sąd Ostateczny Michała Anioła), scena z guślarzem na galerji kopuły św. Piotra — na Kapitolu i ostatnia: „Noc nad wielkimi wodami“.

W scenach dialogowanych, w tych pojedynkach dusz, rozgrywających się w wieczności, czuć było bezsilność aktorów, przekarmionych stylem realistycznym, wobec swoistego patosu Wyspiańskiego, który umiał podnieść muzyczne walory słowa do potęgi niemal kosmicznej.

Okazało się, że tylko dwoje ludzi w tym świetnym ze-spole trafiło we właściwy ton: Węgrzyn i Zahorska. Postać Zahorskiej w klasycznych draperjach dała nam złudzenie posagu-zjawy: głos jej brzmiał, jak dzwon — tak właśnie powinna wyglądać i przemawiać Sława. Węgrzyn, jako rapsod-legjonista, zagrał na strunie romantycznej, którą każdy polak nosi w sercu; on pierwszy porwał widownię, która w ciągu ośmiu obrazów okazywała raczej rezygnację, niż wzruszenie i bodaj zainteresowanie.

Ten objaw zubożenia na bodźce mesjanistyczne da się wytłumaczyć radykalnem przerodzeniem się psychiki narodowej. Patrzymy dziś na Wyspiańskiego poprzez Rubikon niepodległości. Wyspiański był ostatnim punktem parabol, po której przebiegła romantyczna gwiazda pogrobowców. W nim rozprysła się ona tragicznym meteorem i zgasła.

Wysiłek, mający na celu wydobyć piękności i rozniecenie iskry w popiołach, przynosi chlubę Teatrowi Narodowemu. Jest zarazem wskazówką, jak bardzo artystom naszym potrzebna jest kultura romantyczna.

S. P. O.

Teatr Mały: „Piorun z jasnego nieba“ — komedia w 3 aktach Stefana Kiedrzyńskiego. Reżyserja Karola Brzozowskiego. Dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Jakieś rittnerowskie cienie błakały się po tej konstancji-skiej willi, w której Kiedrzyński osadził swoich bridżujących próżniaków, hochstapplerów i eleganckich półgłówków. Czy dlatego, że osiłą akcją, podobnie, jak w „Wilkach w nocy“, jest znowu kobieta, w której zdrowy instynkt moralny nie dał się całkowicie zagłuszyć wyziewami snobizmu i olśnić szystem konwenansów towarzyskich? Czy dlatego, że właściwym bohaterem tej sztuki jest znowu bezdomny włóczęga, szlachetny wykojeńiec, nowoczesny Jean Val Jean, heroicznie wyrzekający się własnej córki w imię jej szczęścia — postać nieco melodramatyczna, którą Fritsche przyodziął w maskę i gest szereg tragizmu?

Być może, że to są zbieżności zupełnie przypadkowe; gdyby jednak nawet były rezultatem podświadomych wpływów, wyszły sztuce na dobre, podnosząc jej skalę duchową nad poziom małostkowych przeżyć trzody ludzkiej, tłoczącej się u żłobu karjery i dobrobytu.

Poza tem Kiedrzyński pozostał wierny sobie. Zawsze to samo jaskrawe zestawienie góry i dołu, świata używających i świata wydziedziczonych, z których jedni ulegają w nierównej walce, inni pchają się w górę godziwymi i niegodziwymi środkami. Zawsze ten sam rozmach w kreśleniu wziętych z życia i mocno przeszarżowanych typów; to samo niedbałe i nieco sztuczne umotywowanie sytuacji, które są potrzebne autorowi do wywołania pewnych starć psychologicznych i demagogicznych efektów, ale nie zawsze leżą w płaszczyźnie logicznego rozwoju wypadków.

Tempo dialogu szczęśliwie pokrywa brak pogłębienia charakterów, krzesząc iskry dowcipu z samej ich powierzchni. Niektóre sceny, np. gra w bridża w ostatnim akcie, zdradzają duże wyrobienie teatralne, przypominając najrzęczniejsze posunięcia francuskich majstrów komedjowych.

Sztuka miała doskonałą obsadę. Na pierwszy plan wysunął się Fritsche ze swoją wspaniałą kreacją dr. Teofiniego. Modzelewska ujmowała wdziękiem i prostotą. Stanisławski ze swego bankiera zrobił dobrodusznego kresowego ramola. Kamińska była nieco sztuczna i może zbyt antypatyczna w roli fałszywej baronowej. Grabowski dał nieco przeszarżowaną karykaturę dyrektora departamentu „Sztuki obcej u swoich“. Dziennikarz Prostek Daczyńskiego był dość becznym chłystkiem na to, aby wzbudzić w nas poważne wątpliwości w wartość moralną i propagandową takiego przedstawiciela literatury.

Aktualne dowcipy na temat panujących u nas stosunków wywoływały śmiech na widowni.

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Gustaw Frenssen: „Sługa Boży“ — 2 tomy, przekład L. Staffa. Nakładem Instytutu Wydawniczego „Renaissance“.

Zasady, określające współżycie ludzi z ludźmi, narodów z narodami — ulegają zmianom, mimo, że ich etyczne jądro jest zawsze to samo. Trzeba więc od czasu do czasu jądro to niejako oczyścić z pewnych pojęć, które obrosło, trzeba je nanowo sprymityzować, aby zasada stała się bliższa prawdzie, żeby poprostu spełniała swoje zadanie. Jest to jak gdyby konieczność obrony przed wyrafinowaniem kultury.

Pastor Adam Barfoord w powieści Frenssena „Sługa Boży“ jest poniekąd takim mocnym człowiekiem, którego nie zasugerowała kultura. Jego naturalność robi niekiedy wrażenie egzotyizmu, jest nawet czasami śmieszna, gruba i chłopska. Ale ta radosna naturalność broni Adama przed błędami i grzechem. Ma bowiem pastor Barfoord swój prosty podział na: białe i czarne, na dobre i złe duchy i dlatego nie tylko intuicyjnie, ale świadomie potrafi wybrać — dobro. Można by to nazwać „zdrowym rozumem“, ale pastor B. posiada więcej, bo zdrowe, niespaczone serce.

Tak właśnie żyje od dzieciństwa poprzez młode lata, nie ulegając zwątpieniom, ani rozczarowaniom. Kocha radość życia i współczuje ludziom, którzy się smucą. Pomaga tym smutnym ludziom, odgradza ich od zła, do którego wiedzie smutek, nienaturalność, przesadne pożądanie. Przychodzi jednak czas wojny, czas wszelakich nieszczęść, wystawiających człowieka na próbę. Powietrze przepełnione jest złymi duchami, które, jak szarańcza, pustoszą Winnicę Pańską. W małej północnej wiosce jasne oczy mieszkańców mętnieją od nieszczęść, a czasami zaczynają płonać nienawiścią. Wtedy pastor Barfoord, sam również dotknięty ciosami wojny, rozpoczyna walkę ze złem. Musi najpierw odpędzić złe duchy od siebie samego, aby następnie pójść na ratunek tym, którzy — nie wiedzą.

Pastor Barfoord musi więc rozszerzyć krąg swojego poznania, musi z doli ludzkiej wytworzyć sobie obraz doli narodów i społeczeństw i tak samo prosto, tak samo prymitywnie wyjaśnić najważniejsze sprawy. Bo tak, jak w człowieku jest wola dobra, albo pęd do zła, tak też i w narodach, w ich formie życia, w ich dążeniach mieści się przyczyna ich losu. Czemuż bowiem była ta straszna wojna, która skończyła się hańbą, niedolą i klęską Niemiec? — Była ostrzeżeniem — mówi pastor Barfoord — bo naród niemiecki zboczył z drogi naturalnego rozwoju, chcąc go przyspieszyć w swojej pysze, chcąc prześcignąć inne narody.

Frenssen, jak tyłu innych niemieckich pisarzy, rozważa problem wojny, ale bez pacyfistycznych konkluzji. Przeprowadzając swojego bohatera poprzez kataklizm wojny, dochodzi do wniosków raczej etycznych, niż społecznych i humanitarnych. I właśnie podniesienie się człowieka widzi w prostocie.

H. N.

Kobieta w świecie i w domu

KOBIETY ENERGICZNIE POPIERAJĄ KRAJOWY PRZEMYSŁ BAWELNIANY.

W związku z ciężkim kryzysem ekonomicznym, który przeżywa obecnie przemysł bawełniany w okręgu łódzkim, rozpoczęła się w całym kraju wśród kobiet gorąca agitacja, mająca na celu czynne propagowanie tej gałęzi rodzimego przemysłu. Chodzi o to, ażeby każda z pań, kompletując letnią garderobę, kupiła sobie na lato chociaż jedną sukienkę bawełnianą.

Niezależnie od tego, czy to będzie kreton, woal, markizeta, czy silk, kupno przyczyni się bezwątpienia do odprężenia ciężkiego kryzysu ekonomicznego. Jest przecież tyle milionów kobiet! Chodzi o to, żeby wszystkie kobiety to zrozumiały i nie wstydyli się chodzić w takich tanich sukienkach.

Warszawa wzięła tę sprawę gorąco do serca. Izba Handlowo-Przemysłowa urządza dwutygodniową propagandę towarów bawełnianych. W okresie tym wszystkie sklepy branży włókienniczej urządzają odpowiednie wystawy i pokazy.

Na zakończenie tej fachowej propagandy odbędzie się szereg zabaw towarzyskich, na których panie zobowiązały się do solidarnego wystąpienia w sukniach bawełnianych.

Koło Polek urządza dn. 14 maja w Salonach Rady Miejskiej Wieczór Wiosenny, nad którym protektorat łaskawie objęła Pani Prezydentowa Mościcka. Pani Prezydentowa przybędzie w toalecie z krajowego bawełnianego materiału, a wszystkie (bardzo liczne) gospodynie zobowiązały się nie tylko do solidarnego wystąpienia w takichże sukniach, ale i do gorącej propagandy przy sprzedaży biletów. Na balu odbędzie się pokaz modeli z nagrodami za najładniejszą i najtańszą suknię. Projektowany jest film propagandowy, który objedzie prowincję z odpowiedniami odczytami.

WIELKI BAL NA KOLONJE LETNIE STOWARZYSZENIA „RODZINA WOJSKOWA“.

Dnia 10 maja r. b. odbędzie się bal, urządzony staraniem Stowarzyszenia „Rodziny Wojskowej“.

Będzie to pierwsza impreza w związku z apelem tegoż Stowarzyszenia popierania przemysłu krajowego. Na balu tym wszystkie członkinie Stowarzyszenia ukażą się w sukniach z wyrobów krajowych (markizety, krepony, kretony).

Na skutek „Pobudki“ Rodziny Wojskowej, przewodnicząca zarządu naczelnego, p. Fabrycowa, otrzymała od pp. ministra Matuszewskiego i doradcy finansowego Devey'a następujące listy:

„Szanowna Pani!

Z prawdziwą przyjemnością odczytałem wezwanie „Rodziny Wojskowej“ do stosowania wyrobów krajowych przez członkinie „Rodziny Wojskowej“ przy szyciu ich sukien.

Sprawy tej nie uważam za błahą, gdyż istnieje, niestety, w Polsce moda na rzeczy obce, nie dlatego, że są lepsze, nie dlatego, że są niezastąpione, ale tylko dlatego, że są zagraniczne. Walka z tym snobizmem, kierującym się nie rozsądkiem i nie kalkulacją, lecz tylko próżnością, jest walką, którą prowadzić należy nie tylko w świecie kobiecym i nie tylko na temat sukienek. Życzę, aby „Rodzina Wojskowa“ odniosła zwycięstwo na tym odcinku, na którym ruszyła do natarcia. Będzie to pożyteczne nie tylko dla przemysłu krajowego, dla Skarbu, dla bilansu handlowego Polski, będzie to pożyteczne przedewszystkiem dla tych, którzy potrafią wyleczyć się ze snobizmu obcości.

Wyrazy prawdziwego szacunku łączę

(—) Ignacy Matuszewski.

„Szanowna Pani!

Byłem proszony o wyrażenie swej opinii, w sprawie odezwy Pań, do Pań z „Rodziny Wojskowej“, wzywającej je do noszenia sukien bawełnianych, w czasie nadchodzącego sezonu. Przeczytałem z dużym zainteresowaniem artykuł, który Panie zamieścili w prasie.

Spodziewam się, że akcja Pań będzie podnietą do kupowania wyrobów „perkalikowych“.

Proszę przyjąć moje najlepsze życzenia w pracy, którą Panie przedsięwzięją. Szczerze oddany

(—) Charles Devey.

ZJAZD „RODZINY POLICYJNEJ“.

W Warszawie odbył się walny zjazd członkiń Stow. „Rodzina Policyjna“ województwa Warszawskiego, przy udziale 33 delegatek powiatowych. Obecna była pani komendantowa Policji Państwowej Jadwiga Maleszewska, w towarzystwie pani inspektorowej Heleny Ludwikowskiej. Zarząd Naczelny Stowarzyszenia reprezentowała pani inspektorowa Romana Kaufmanowa. Z Zarządu Okręgowego obecne były panie: przewodnicząca inspektorowa Marja Tomanowska, wiceprzewodnicząca: Zofja Kamalowa i Czesława Chmajowa, czł. Zarządu Anna Bogdanowiczowa, sekretarka Zofja Ambrożkiewiczówna i skarbniczka Otylja Jamiolkowska.

Zjazd w imieniu Zarządu Okręgowego powitała w dłuższych serdecznych słowach pani Marja Tomanowska. Przewodnictwo objęła pani insp. Romana Kaufmanowa. Asesorkami były panie: Zofja Ambrożkiewiczówna i Otylja Jamiolkowska. Sekretarowała pani Izabela Kowalska.

W pierwszym dniu obrad wysłuchano sprawozdań delegatek powiatowych i dokonano wyboru Zarządu Okręgowego w liczbie 12 osób, z panią Marją Tomanowską, jako przewodniczącą, na czele.

Ze sprawozdań poszczególnych delegatek powiatowych wynika, że akcja społeczna na rzecz Stowarzyszenia rozwija się naogół pomyślnie i ma widoki szerokiego rozwoju na przyszłość. Koła powiatowe wykazują dużą inicjatywę i zrozumienie swych zadań. Znajdują się, co prawda, jeszcze pewne usterki i niedomagania, lecz i te przy dobrych chęciach i wyczerpanej pracy dadzą się usunąć. Niektóre powiaty, o większej inicjatywie i sprężystym kierownictwie, wykazywały daleko idące zrozumienie potrzeb materialnych swych członków i przychodziły im z wydatną pomocą, czerpiąc dochody z imprez i doraźnych zbiorów. Wiele rodzin policyjnych dało się uchronić w ten sposób od katastrofy materialnej. Dzieci funkcjonariuszy policji obdarzane były prezentami i ubrankami z okazji Gwiazdki, która była urządzana w każdym powiecie; chorych umieszczano w zakładach kuracyjnych i na kolonjach.

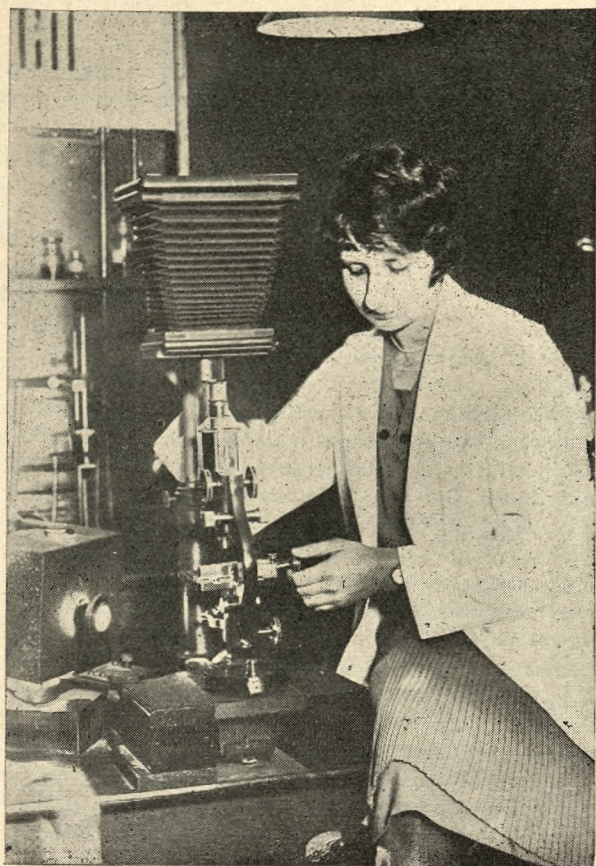
Za owocną pracę Kół powiatowych Pani Komendantowa Główna P. P. złożyła zebranym serdeczne podziękowanie, zachęcając jednocześnie do wyczerpania sił na przyszłość.

Nader przystępnie i pogładowo zobrazowała doniosłość pracy społecznej kobiet pani Strzelecka (prelegentka zaproszona, ze Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet) w swym referacie w drugim dniu zjazdu. Prelegentka mówiła o zadaniach ruchu kobiecego w ogóle, a kobiety, jako matki i wychowawczynie młodego pokolenia, w szczególności. Jędrne i zachęcające przemówienie pani Strzeleckiej wywarło na zebranych duże wrażenie.

Miła pogawędka przy czarnej kawie zakończyła program zjazdu.

DONIOSŁE ODKRYCIE, DOKONANE PRZEZ KOBIETĘ.

Wbrew złośliwym twierdzeniom, że umysłowość kobieca nie posiada inicjatywy i nie jest zdolna do wynalazków, z chwilą otwarcia kobietom dostępu do wiedzy coraz częściej zdarzają się ważne odkrycia, dokonane przez kobiety. W ostatnich cza-



Miss Chevassut.

sach rozeszła się znów wieść o odkryciu, które może mieć dla ludzkości znaczenie epokowe. Studentka medycyny, praktykująca przed zdaniem dyplomu w szpitalu Westminster'skim, Miss Chevassut, odkryła w drodze badań bakteriologicznych, czynnik, powodujący sklerozę mózgu i mleczną pacierzowego, z której powstaje zwykle skleroza ogólna organizmu i ciężkie formy paraliżu. Sfery lekarskie uznały pracę p. Chevassut za tak ważną, iż otrzymała ona fundusz 800 funtów rocznie na dalsze badania.

O WSPÓŁCZESNYCH ŚWIĘTYCH.

W okresie przedświątecznym odbyły się ciekawe odczyty znanej powieściopisarki, współpracowniczki „Bluszczu“, p. M. Szpyrkówny. W pierwszej swej prelekcji scharakteryzowała wrażenia z wycieczki do Lourdes p. t. „O cudach“, drugi odczyt zatytułowany był: „Jak i pociąg żyją współcześni święci?“. Pięknie opracowane literacko i pełne głębokich myśli, w nowy sposób ujmujące zagadnienie świętości na tle życia współczesnego, prelekcje spotkały się z zasłużonym uznaniem.

WAHADŁO, KTÓRE WSKAZUJE CHOROBY.

Odbywa się obecnie w Wiedniu kongres zwolenników przyrodolecznictwa, połączony z wystawą różnych przyrządów i metod, w przyrodolecznictwie używanych. Jednym z najciekawszych eksponatów na tej wystawie jest „wszechwiedzące wahadło“, którego wynalazcą jest kobieta, pani Reiter-Graf. Wahadło to służy do określania chorób. W tym celu pacjent, ująwszy koniec sznura, trzyma je z kolei nad kilkoma próbkami, oznaczonymi napisami: nerki, serce, wątroba, śledziona i t. p. W każdej z tych próbek znajduje się proszek, o składzie, wiadomym tylko wynalazczyni. Wahadło, zdaniem pani Reiter-Graf, wyjdzie z pionowego swego położenia w chwili, gdy znaj-

dzie się nad próbką z nazwą tego organu, który u pacjenta nie domaga. Pani Reiter-Graf twierdzi, że mądre to wahadło nigdy nie myli się w swej diagnozie.

DZIAŁALNOŚĆ POLSKIEJ LIGI KOBIEĆ POKOJU I WOLNOŚCI.

Po ostatnich wyborach zarządu, Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności zreorganizowała swe prace, prowadząc je zresztą nadal w kontakcie z innymi polskimi organizacjami pacyfistycznymi.

Biuro Ligi Pokoju i Wolności mieści się przy ul. Chmielnej 10 m. 1. Sekretariat udziela informacji we wtorki, środy, czwartki i piątki w godz. 5 — 6 popołudniu.

Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności urządza stałe zebrania dyskusyjne dla ogółu członkiń i zaproszonych gości. Uruchomiono komisje: propagandową, zjednującą nowe członkinie, prasową, prowadzącą akcję ideologiczną w pismach, oraz komisję młodzieży, organizującą wycieczki, wykłady i korespondencję młodzieży i nauczycielstwa.

Komisja Kół prowincjonalnych stworzyła Koło w Królewskiej Hucie, co ma duże znaczenie ze względu na oddziaływanie na łagodzenie stosunków polsko-niemieckich na obu Śląskach. Koło krakowskie rozwija żywą działalność, podejmowało wycieczkę pacyfistyczną niemiecką, urządza odczyty. Nowe Koła są w stadium organizacyjnym.

Liga stara się wpływać na łagodzenie tarć mniejszościowych w Polsce i nawiązywanie przyjaznych stosunków z wybitnymi działaczami i działaczkami innych krajów. Niedawno Liga brała udział w przyjęciu w Warszawie takich osób, jak członkini Niemieckiej Sekcji Ligi Pokoju i Wolności p. dr. Elgi Kern, która wygłosiła odczyty na temat „Kobieta w polityce“ i „Czy możliwe i potrzebne jest porozumienie polsko-niemieckie“, znanego ekonomisty francuskiego i działacza pacyfistycznego p. Francis Delaisi, pp. ks. Hoffmanna i K. Mayra, Niemców, którzy odbyli z przedstawicielami polskich pacyfistycznych organizacji konferencje na tematy gospodarcze i polityczne, mające znaczenie dla pokojowych stosunków między narodami.

Polska Liga Kobiet Pokoju i Wolności uczestniczy w międzynarodowych zjazdach i konferencjach swej organizacji, do której należą kobiety 40-tu narodów świata, a na jesieni bieżącego roku będzie podejmowała w Warszawie zjazd Komitetu Wykonawczego Ligi.

PO PRACY ZABAWA.

Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet w Augustowie zorganizował wzorową szkołę kroju i szycia. Nasza rycina przedstawia jeden z momentów zabawy, urządzonej dla uczennic kursów.



Uczennice przy zabawie.

REFORMA MODY MĘSKIEJ

Jeżeli zarzucamy modzie kobiecej kapryśność i niestałość, to moda męska grzeszy przeciwnymi zupełnie cechami.

Równo sto lat temu znakomity pisarz angielski, lord Bulwer Lytton, wprowadził w modę czarny frak, jako strój wieczorowy. Do tego czasu panowie nosili na bale ubrania brązowe, zielone, szare, jakie kto wołał; były to jeszcze czasy przejściowe od barwnej mody XVIII wieku. Po ukazaniu się powieści „Pelham”, w której Bulwer Lytton ubrał bohatera w czarny frak, strój ten wszedł w użycie bezapelacyjnie.

To samo dzieje się z fasonem ubrań męskich, noszonych na codzień i na wizyty; od całych dziesiątków lat nie zmienił się ich zasadniczy rodzaj: długie spodnie i marynarka. Jeżeli mówimy o zmianie mody męskiej, to chodzi o rzeczy minimalne: jakieś guziki w jeden, a nie w dwa rzędy, klapy szersze lub węższe, szew trochę wyżej, czy szerzej zakrojony, ot i wszystko. W ostatnich dopiero czasach znaleźli się śmiałkowie, którzy podnoszą protest przeciwko samym zasadom mody męskiej.

Tymi dwoma odważnymi ludźmi są: literat, p. Maurycy de Valeffe w Paryżu i artysta teatru miejskiego w Sztutgardzie p. Kurt Hagen.

Obaj oni twierdzą, zupełnie zresztą słusznie, że dzisiejsza moda męska woła o pomstę do nieba. Kurt Hagen wyliczył, że ubranie każdego gentlemana waży 5 kilogr., składa się, łącznie z bielizną, z 16-tu części, posiada 60 guzików, a włożenie wszystkiego zajmuje około 45 minut. Ponętny obrazek, prawda? Prócz tego, grube, ciemne materiały nie przepuszczają powietrza i promieni słonecznych, nie dają się prać, wywierają ponure wrażenie i kosztują ogromne sumy. Ubranie takie jest i niehigieniczne i nieestetyczne w najwyższym stopniu.

Kurt Hagen nie poprzestał na rozważaniach teoretycznych: za jego inicjatywą powstało w Sztutgardzie stowarzyszenie reformy mody męskiej, do którego, o dziwo! zapisali się liczni przedstawiciele high life'u, artyści niemieccy i zagraniczni, między innymi... Charlie Chaplin. Hagen organizuje wszędzie odczyty propagandowe, pisze agitacyjne artykuły i spotyka się z objawami żywego uznania. Świeżo jedna z wielkich firm amerykańskich zaproponowała mu tournée światowe i 10 tysięcy dolarów za prawo wyrabiania ubrań jego pomysłu. Rzecz prosta, że pomysł taki musiał energiczny artysta, reformator mody, posiadać: nie można niszczyć czegoś, nie dając nic nowego na to miejsce.

I tu zaczynają się trudności.

Dzisiejsza moda męska jest, delikatnie mówiąc, paskudna. Na balu zebrani panowie przywodzą na myśl sejm wroni: białe biuściki, czarne skrzydełka; na ulicy snują się w płaszczach, przypominających worki pokutnicze; w domu gubią spinki i najspokojniejsi wpadają w pasję przy zapinaniu balowej koszuli; tak, to wszystko prawda, ale jak to zmienić?

Kurt Hagen proponuje i demonstruje nową modę; wygląda ona tak: koszula z kołnierzem à la Słowacki (w Niemczech nazywają to à la Schiller), spodnie długie lub krótkie z surowego jedwabiu, sandaalki (bez pończoch, czy też skarpetek) i... koniec. W razie wyjątkowego zimna, kładzie się na wierzch rodzaj piżamy, czy swetra.

W ubraniu tem niema ani jednego guzika, waży ono $\frac{1}{4}$ kilo, kładzie się w trzy minuty, może być, naturalnie, w dowolnych barwach.

Zdawałoby się, że to ideał: lekkie, łatwe do włożenia, łatwe do prania, higieniczne no i niekosztowne, bo cóż? 2 metry surowego jedwabiu, sandaalki i koszula.

Niestety, ma ten nowy kostjum stronę złą jedną, ale nieodpartą: jest brzydki.

Brzydki i trudno, nie poradzi na to projektodawca, choć nazywają go „Napoleonem mody męskiej”. Człowiek tak ubrany wygląda zawsze, jak... rozebrany. Nie można pomyśleć o ukazaniu się w tym stroju w towarzystwie.

Pozatem istnieją i względy praktyczne. Kurt Hagen twierdzi, że nikt się nie zaziębi bez pończoch, gdyż zahartowana słońcem i powietrzem skóra ludzka jest najlepszym trykotem; jest to jednak teoria, przynajmniej dla ogółu. Trudno sobie wyobrazić, aby mężczyźni, którzy tak krytykowali kobiety za cienkie pończoszki, wysuwając właśnie obawę zaziębnienia, zgodzili się teraz używać własnej skóry, zamiast ciepłego okrycia.

Pan de Valeffe nie pojmuje sprawy tak radykalnie, jak Kurt Hagen. Nie wyobraża sobie, aby można było pokazywać się bez pończoch i z gołą szyją. Chodzi mu głównie o zmianę materiału, doboru barw i fasonu; pragnie widzieć ubranie, zreformowane zgodnie z wymogami estetyki i higieny, ale ubranie, a nie piżamę nocną. A więc spodnie do kolan jedwabne, takie same pończochy, pantofle na wzór damskich, kurtka, marynarka czy frak, stosownie do okoliczności, naturalnie uszyte nie dzisiejszym fasonem „krawieckim” z kamizelkami, wywątowanymi ramionami, sztywnymi klapami i t. p., lecz jedwabne, włożone bezpośrednio na wytworną miękką bieliznę; barwy jasne i żywe. Jednem słowem, koloryt wzorowany na malowniczych kostjumach XVIII wieku, fason i materiały zmodernizowane.

Ten pomysł miałby może większe warunki powodzenia; niestety, i on posiada wadę kardynalną: cenę. Te piękne jedwabie, o barwach z epoki Króla-Słońca, jakże prędko niszczyłyby się i płowiały, a nie mogłyby być przecież tanie. Pozatem, marynarkowy garnitur, marengo czy granatowy, czarny smoking lub frak nosić można rok okrągły, a czy jest do pomyslenia elegant, ukazujący się stale wieczorem w tym samym np. niebieskim, lub żółtym stroju? Miećby ich musiał przynajmniej tyle, ile eleganka pani na karawał.

Więc tak źle i tak nie dobrze.

Kurt Hagen piorunuje przeciw sztywnym kołnierzykom, które uciskają gruczoły szyi, tak ważne dla prawidłowej przemiany materji; potępia paski, szeleki i podwiązki. Sztywnych kołnierzyków nosi się już co prawda niewiele, wyłącznie do stroju wieczorowego; że pasek i guma szelek i podwiązek nie są higieniczne—racja; trudno jednak dane części ubrania przykleić do skóry, jakżeż się utrzymają? A prawda, aby nie być zmuszonym używać podwiązek, trzeba nie nosić pończoch!

Co z tej propagandy wyniknie, ściśle przewidzieć trudno. Ameryka i Niemcy interesują się nią, Paryż sobie z niej podżartowuje. Anglja, no, tam, to można przewidzieć, że gentleman zdecydowałby się raczej przyjść na bal w kostjumie tenisowym, niż

w zreformowanym w myśl projektów de Valeffe'a lub Hagena.

Potrzeba reformy ubrania męskiego jest jednak widoczna. Kobiety dokonały swego sprawnie i estetycznie. Poza bezsensowną tegoroczną fantazją długich sukien balowych, ubierają się lekko, higienicznie i estetycznie.

Strój męski też powoli się zmienia, zółwim czołwakiem, ale idzie ku lepszemu. Zanika w codziennym użyciu sztywna bielizna, poszły na emeryturę „trzewiki” wysokie, wciągane na gumach, bielizniane długie „niewymowne”, wiązane przy kostce na tasiemki, wychylające się figlarnie na światło dzienne, i tym podobne okropności. Coraz częściej widzimy panów, noszących w porze letniej eleganckie koszule i paski, bez marynarek; coś robi się stanowczo w myśl postępu.

Chodziłoby teraz jeszcze o wyrzucenie grubego sukna i kortów, o zastąpienie ich materiałami, podatnymi do prania, przepuszczającymi powietrze i światło i o zmianę barw, nie tak może radykalną, jak proponuje de Valeffe, niekoniecznie wszystkie kolory tęczy, ale coś jaśniejszego. Jest tyle barw przejściowych, które nie opatrują się zbyt łatwo. Przecież i damskie suknie nie zawsze są zdecydowanie kolorowe, zwłaszcza codzienne i spacerowe, a wyglądają o całe niebo żywiej i estetyczniej.

Wartoby było, aby nasi panowie zainteresowali się tą kwestją i wypowiedzieli swoje o niej zdanie. A może znajdzie się u nas jaki naprawdę genialny reformator męskiego stroju?

J. Jezierska

KILKA UWAG O HODOWLI KUKURYDZY

Kryzys, jaki przechodzi nasze rolnictwo, zmusza nas do szukania źródeł dochodu. Muszą się kurczyć obszary, zajęte uprawą zboża, a rozszerzać chlewy, obory i kurniki. Staje się więc bardzo aktualną sprawą hodowli roślin na paszę.

Do takich roślin należy kukurydza, znana nam dotąd, jako smaczna jarzyna letnia.

Sprawę szerszej uprawy kukurydzy na ziarno poruszono w pismach po raz pierwszy w 1925 roku. Od tej pory minęło 5 lat. Czas ten nie został zmarnowany, gdyż wytworzono naszą rodzimą „Kukurydę bydgoską”. Wzrosło także zrozumienie ogółu korzyści z tej hodowli; uświadomiono sobie, że słonina węgierska i szmalc amerykański jej właśnie zawdzięczają swe powodzenie. Świnie bowiem, karmione kukurydzą, tuczą się znakomicie. Kury również niosą się doskonale, a i przy tuczeniu drobiu oddaje kukurydza duże usługi. Jako pokarm dla koni, możemy dawać bez obawy 6 kg. na parę.

Tam, gdzie są wielkie ilości kukurydzy, używają jej do pędzenia okowity, do przeróbki na krochmal.

Dla ludzi wypiekają z niej chleb, robią kaszę; służą też, jako jarzyna.

Najlepiej jednak używać jej na paszę, gdyż posiada dużą wartość odżywczą, zawierając następujące składniki:

- 1) suchej masy 8,8 — 8,9%,
- 2) części azotowych 7,7 — 8,2%,
- 3) tłuszczu do 3,9%,

4) skrobi 49,6 — 50,8%,

5) innych części bezazot. 17,6 — 18,8%,

6) włókna drzewnego 6,3 — 7,2%,

7) popiołu 1,4 — 1,5%.

Oczywiście, cyfry te podlegają dość znacznym wahaniom, zależnie od odmiany i ziemi, na której kukurydza została wyprodukowana.

Dla naszego klimatu do uprawy na ziarno najodpowiedniejsze będą, obok kukurydzy bydgoskiej, „Quarantino” i „Cinquantino”. Wszystkie te trzy odmiany dojrzewają w naszym klimacie doskonale.

Kukurydza „Zea Mais” należy do rodziny traw i jest wiatropylna; jest to roślina jednoroczna i jara. Pochodzi z Ameryki południowej, skąd dostała się do Hiszpanji, a następnie do innych krajów Europy. W Polsce uprawiają ją na Podolu, w Galicji i na Pokuciu.

Obróbki wymaga starannej—takiej samej mniej więcej, co i kartofel. Do uprawy potrzebuje dosyć dużo rąk, ale ma jeszcze i tę dobrą stronę, że wszystkie roboty przy niej wykonujemy w momencie, gdy w polu niema żadnej pilnej pracy.

Co do gleby, to kukurydza nie jest zbyt wymagająca: byle nie na sapowatej i zbyt ubogiej, może być uprawiana na każdej ziemi. Gleba winna być silnie nawieziona i to obornikiem, lub, co jeszcze lepiej, nawozem kłocznym. Nawozy sztuczne są mniej wskazane i stosunkowo mniej się opłacają, niż na innych roślinach. Dzięki małej wrażliwości na fizyczne właściwości gruntu, kukurydza jest mało wrażliwa na stanowisko w płodozmianie — znosi nawet stanowisko sama po sobie i to kilka lat w tem samym miejscu.

Uprawa ziemi musi być staranna. Wczesną jesienią podorywka, potem głęboka orka, możliwie z pogłębiaczem. Wiosną, gdy tylko można wyjść w pole—włoka, aby przyspieszyć wzejście chwastów. Skuteczna bowiem walka z chwastami oraz dostarczenie roślinie dosyć pokarmu stanowi o powodzeniu uprawy. Nawóz najlepiej przyorać przed zimą, aby miał czas należycie się rozłożyć. Jeśli jednak nie zostało to wykonane, to można go dać i wiosną, byle wcześniej. Nawozu nie należy żałować, gdyż pod kukurydzą nigdy go nie jest za dużo i zawsze zostaje znakomicie wykorzystany.

Gdy tylko chwasty wzejdą, niszczymy je kultywatorem; do siewu przystępujemy po 10 maja. W tym celu bronujemy ziemię wzdłuż i wszerz, aby siać w świeżą rolę, i następnie znaczymy znacznikiem od kartofli, dając odstępy od 60 — 80 cm. Znaczymy w kratę i na skrzyżowaniach sadzimy ręcznie 3 — 4 ziarenka, nie zagłębiając ich zbyt. Ziarna wychodzi przy tym systemie około 16 kg. na 1 H. Możemy siać rzutowo, lub rzędowo, jak zboże, ale wtedy nie można pola odpowiednio obrobić i plon bardzo się obniża.

Po tygodniu zwykle wschodzą siewki; teraz należy uważać, aby ich nie zagłuszyły chwasty, gdyż kukurydza w początkach rośnie bardzo powoli. W tym celu należy możliwie często motyczyć, lub przechodzić pole planetem.

Gdy roślinki już wypuszczają po kilka listków, zostawiamy po 2 lub 3 w gnieździe, a resztę wyrrywamy. Gdy są już wysokie na jakie 20 cm., znów motyczymy, lub planetujemy po raz drugi, uważając jednak, aby nie naruszyć korzeni. Czynność tę wykonujemy nie tylko dlatego, aby zniszczyć chwasty, ale by nie dopuścić do zbytniego wysuszenia ziemi.

W jakie dwa tygodnie potem okopujemy kuku-

rydżę, jak kartofle. Obredlając ją, dajemy możność rozwoju t. zw. korzeniom przybyszowym, przez co roślina umacnia się w gruncie i lepiej przeciwstawia wiatrom. Daje to również możność lepszego wykorzystania pokarmów z wierzchniej warstwy ziemi, przyczynia się też do lepszego nagrzania się ziemi, gdyż ukośne promienie słoneczne, padając prostopadłe na grzbiety, silniej je nagrzewają. O ile ziemia się zaskorupi, należy zawsze ją wzruszyć. Na tem kończą się wszystkie starania koło kukurydzy.

Do sprzętu kukurydzy przystępujemy po 20-tym października. Rośliny ścinamy sierpem, a druga partja ludzi natychmiast obłamuje kolby (kaczany), które się zwozi do stodoły. Tam zostają one pozbawione koszułek, czyli plewy. Kukurydżę lepiej jest przechowywać w kaczanach, łuszcząc tylko na bieżące potrzeby. Odrazu przy zrywaniu plewy wybieramy jaknajdородniejsze kaczany na nasienie i tym plewę zostawiamy, wiążąc je zapomocą sznurka w długie łańcuchy, które rozwieszamy na belkach w śpichlerzu lub w stodole. Pozostałe zaś kaczany sypimy cienką warstwą na strychu, często szuflując, aby się pleśń nie wdała.

Plony kukurydzy bywają bardzo wysokie, bo 60 ctn. metrycznych z 1 ha. nie jest wcale rzadkością, a można przy należytej pielęgnacji osiągnąć i 90. Z paszytów kukurydżę najczęściej atakuje głownia; pojawia się ona w formie wielkich, okrągłych narośli; należy ją starannie wycinać i palić, gdyż może poczynić duże szkody. Aby się nie rozprzestrzeniała, nie należy siać kukurydzy na tem samym miejscu, tylko umieścić ją w płodozmianie w miejscu okopowych.

Bardzo łakome na kukurydżę są wrony; mogą one zniszczyć cały zasiew, wybierają bowiem nietylko ziarno, ale i wzeszłe siewki; odpędzać je należy zapomocą straszaków i przez rozrzućcenie kilku zabitych wron na polu, czego się boją.

Pozostaje powiedzieć kilka słów o łuskaniu kukurydzy. Istnieją do tego celu specjalne maszyny, które jednak są bardzo drogie i nie dla każdego dostępne; lecz można to doskonale wykonać ręcznie, zużywając długie wieczory zimowe i dnie słotne. Jeśli kukurydza jest sucha, praca ta idzie bardzo szybko.

M. Saryusz-Stokorska.

ZASADY RACJONALNEGO GOTOWANIA DLA CHORYCH I OZDROWIEŃCÓW

Mięso, ryby, ser, mleko i jaja są to pokarmy, obfitujące znacznie więcej w białko, niż inne. Niektóre gatunki mięsa i sera są również bardzo bogate w tłuszcz. Z wyjątkiem cukru mlecznego w mleku i glikogenu w wątróbce, w pokarmach tych (mięso, jaja, ser, mleko) ilość węglowodanów jest znikomą.

Racjonalne gotowanie tych pokarmów (t. zw. białkowych) opiera się głównie na znajomości wpływu temperatury i metod gotowania na białko. W mięsie, zwłaszcza białem, i w jajach większość białka stanowi t. zw. albumina. Albumina ma tę własność, że rozpuszcza się w zimnej wodzie (z doświadczenia wiemy to o białku z jajka), a ścina się w gorącej. Przytem, gdy ścina się poniżej temperatury wrzenia,

nie twardnieje tak szybko, jak wtedy, gdy się ścina w temperaturze wrzenia, t. j. 100° C. lub powyżej. Dlatego to np. sztuka mięsa, gotowana na mocnym ogniu, jest znacznie twardsza, niż kawałek tego samego mięsa, gotowany długo, ale na b. wolnym ogniu. Aby więc otrzymać dobrą sztukę mięsa, wkładamy ją najpierw w gotującą się wodę; wtedy zewnętrzna powierzchnia białka ścina się i twardnieje, zatrzymując soki w środku mięsa; potem jednak szybko obniżamy temperaturę gotowania.

Zarówno mięso, jak i jaja należy gotować w niskiej temperaturze — poniżej wrzenia wody. Czyż możemy jednak otrzymać jaja nawpół, lub zupełnie na twardo, gotując w ten sposób? Jajka na twardo są nawet b. strawne, wbrew dotychczasowemu mniemaniu. Pod warunkiem, jednak, aby były racjonalnie ugotowane, t. j. wstawione w gorącą wodę i odstawione pod przykryciem na gorącej blasze, tak, aby się woda już dalej nie gotowała. Niech tak postoją 25—30 minut. Aby otrzymać jajko na miękko, należy postąpić tak samo, ale trzymać 5—8 minut, zależnie od temperatury wkładanych jaj. W ten sposób gotowane jaja są równie strawne, jak jaja surowe, dobrze rozbite i podane z innym płynem (mlekiem, kleikiem).

Wogóle przez gotowanie nie podnosimy strawności pokarmów białkowych. Mięso gotujemy dla dodania mu smaku i poddania go sterylizacji (co w kuchni dla chorych ma b. doniosłe znaczenie), nie zaś dla podniesienia strawności. Co innego kasze i potrawy mączne, które są strawniejsze, im dłużej się gotują. Następujące czynniki warunkują czas gotowania i przyrządzania mięsa:

I. Metoda gotowania; II. gatunek; III. rozmiary i kształt kawałka mięsa; IV. temperatura.

Rozróżniamy następujące metody gotowania mięsa: a) długie gotowanie w wodzie, poniżej temperatury wrzenia. Jeżeli wkładamy mięso w wodę zimną, mamy na celu wydobycie z mięsa jak największej ilości części odżywczych; b) wkładając w gotującą się wodę, mamy na celu częściowe zatrzymanie soków w mięsie, a przedłużanie czasu gotowania do 3½—4 godzin ma na celu rozmiękczenie tkanek mięsa.

Wśród tych metod dla chorych najodpowiedniejsze są: 1) gotowanie i duszenie (potrawki); 2) duszenie, które obejmuje najpierw obsmażanie powierzchni mięsa, potem gotowanie go pod przykryciem, z dodaniem niewielkiej ilości płynu (rosół, wody, śmietany i t. d.); 3) przypiekanie, czyli zetknięcie zewnętrznej powierzchni mięsa z rozpalonym rusztem, albo z grubą patelnią; 4) pieczenie, czyli poddawanie mięsa wysokiej temperaturze powietrza w zamkniętej przestrzeni piecyka; 5) smażenie oznacza poddawanie mięsa wysokiej temperaturze, uzyskanej przez rozgrzany tłuszcz.

Czas gotowania mięsa zależny jest od gatunku: im lepszy gatunek mięsa, tem krócej można je przyrządzać, a więc befsztyki z polędwicy lub rozbefu przypiekać można na ruszcie, lub na grubej patelni, bez tłuszczu, w ciągu 8—12 minut; potrawka z piersi drobiu lub cielejczy sznycelówki — 20—30 minut; gdy tymczasem potrawki z przednich części mięsa powinny się gotować 1—2 godzin, najlepiej na parze lub na b. wolnym ogniu. Mięso tłuste i mięso chude wymagają różnego czasu pieczenia. Kawał mięsa, zawierający dużą ilość tłuszczu, szczególnie na powierzchni, wymaga dłuższego czasu do osiągnięcia tej samej temperatury wewnątrz, niż kawał mięsa chudego. Chorym

lub osobom o słabym aparacie trawiennym należy podawać jedynie chude części pieczeni.

Trzecim czynnikiem, od którego zależy czas gotowania, są rozmiary i kształt kawałka mięsa. Oczywiście, że im cieńszy jest kawałek mięsa, tem prędzej gorąco przenika do środka; im grubszy, tem dłuższego potrzeba na to czasu. Im większy kawałek, tem więcej temperatura wnętrza się podnosi po odstawieniu go z ognia. Może się zdarzyć, że kawałek mięsa jest tak cienki i mały, że wewnątrz temperatura nie podnosi się po wyjęciu go z pieca z powodu b. szybkiego ochłodzenia powierzchni. Kształt więc i wielkość kawałka mięsa warunkują ilość czasu, potrzebnego do upieczenia. Uwzględniając powyższe obserwacje, należy brać na *befszyki* kawałki *krótkie a grube*, ponieważ chodzi tu o szybkie upieczenie mięsa, bez wysuszenia go.

Temperatura jest ważnym czynnikiem przy gotowaniu mięsa dlatego, że: 1) jak zaznaczyłam wyżej, białko mięsne zbyt twardnieje w temperaturze 100° lub wyższej, należy więc utrzymywać temperaturę poniżej wrzenia wody; 2) wewnętrzna temperatura produktów, zawierających dużo wody — a więc i mięsa — nigdy nie sięga powyżej temperatury wrzenia ich soków; ilość ciepła, dostarczona w większej ilości, niż potrzeba do osiągnięcia wrzenia soków, nie przyspiesza zatem procesu gotowania, lecz tylko powoduje wyparowanie wilgoci, czyli wysuszenie potrawy. Wyższa temperatura gotowania wywołuje wyższą temperaturę na powierzchni, a przez to samo bardziej podwyższa temperaturę wnętrza. Należy więc raczej gotować mięso w b. niskiej temperaturze, ale zato dość długo.

Poza temi czynnikami, wpływającymi na jakość przyrządzonego mięsa, są jeszcze inne, dotyczące już nie samego gotowania mięsa, lecz jego podawania.

Zmiękczenie włókien mięsnych następuje przez dodanie kwasów, dobry więc jest nasz polski zwyczaj marynowania mięsa. Jeżeli nie poddaliśmy włókien mięsnych kruszeniu ani przed gotowaniem mięsa, ani w czasie gotowania (przez podlewanie go kwaśną śmietaną, duszenie z pomidorami i t. p.), to dla podniesienia jego strawności należy przynajmniej podawać mięso z ogórkami kwaszonymi, ćwikłą (przyrządzoną bez octu, lecz z naturalnym kwasem), lub sałatą z kapusty kwaszonej, gdyż kwasy, a w szczególności *kwas mlekowy* (obecny w wymienionych produktach), w wysokim stopniu zwiększają strawność mięsa.

Solić należy przed samem podaniem, ponieważ sól rozpuszcza różne substancje w mięsie, wyciąga z niego soki i wyjąławia je. Młode kurczęta, pieczone bez solenia, są b. smaczne, b. soczyste, a nawet dostatecznie *słone*, bo ich sole nie wypływają na zewnątrz.

Dopóki u nas nie wejdzie zpowrotem w użycie rodzaj rusztu, lub grubej patelni do przypiekania befszyków i sznycli dla chorych, trzeba posługiwać się złą w zasadzie metodą, t. j. smażeniem. Smażenie lepiej uskutecznić na maśle, niż np. na smalcu. Pamiętać jednak trzeba, aby masło zbyt się nie zrumieniło, gdyż łatwo o przypalenie go, a wtedy masło łatwo się rozkłada, wytwarzając substancje, wysoce drażniące błonę śluzową (wolne kwasy tłuszczowe) i przewod pokarmowy; mogą się nawet wytworzyć substancje trujące (akroleina z gliceryny).

Tłuszcze, mające wyższy punkt topnienia, niż

szmalec, nie rozkładają się tak szybko przy wyższej temperaturze, ale też i w żołądku trudniej przechodzą w stan emulsji i dlatego dla chorych nie są wskazane. Wszelkie zbyt ściśle połączenia białka z tłuszczem są ciężiej strawne, a więc np. poprzerastałe tłuszczem mięso (wieprzowina), mięsa smażone, mięsa w tłustych sosach, flaki z pulpetami — należy bezwarunkowo wykreślić z jadłospisu dla osób chorych i ozdrowieńców.

Gatunek mięsa zależy od wieku, sposobu wychowu i żywienia zwierzęcia, jak również i czasu, jaki upłynął od jego zabicia. Części tylne są lepsze, niż przednie, bo wogóle mięśnie mniej używane mają mniej t. zw. tkanki łącznej i są bardziej soczyste i miękkie. Stąd piersi ptaka są miększe, niż mięśnie nóg, skrzydeł. Ryba, jako mająca b. mało tkanki, jest daleko bardziej miękka, niż mięso wołowe lub wieprzowe.

Wewnętrzne organy, jak ozór, mózdzek, cyna-derki, serce, wątróbka, płuca — są naogół łatwiej strawne, niż mięso z mięśni zwierzęcia. Niektóre z nich, jak np. serce, mózdzek, a szczególnie wątróbka, jest daleko bardziej wartościowa pod względem dietetycznym, ale produkuje w organizmie b. dużo kwasu moczowego, to też zbyt częste jej spożywanie przy artretyzmie, chorobach naczyń nie jest wskazane.

Naogół mięsa białe są strawniejsze, niż ciemne, a to dlatego, że mają więcej białka rozpuszczalnego. Wyjątek stanowi cielęcina, która ma mniej białka rozpuszczalnego, niż mięsa ciemne, np. wołowina.

Cielęcina w postaci nawet sznyclówki powinna być w kuchni dla chorego używana jedynie na potrawki, gdyż zawiera więcej, niż mięso wołowe, białka, t. zw. kollagenu, trudno rozpuszczalnego, zaś mniej albuminy — białka rozpuszczalnego. Mięso zatem cielęce, w kuchni dla chorego powinno być używane *tylko gotowane*.

Wołowina natomiast wskazana jest pod każdą postacią, a więc befszyk skrobany lub przypiekany z polędwicy, czy rozbefu, jest strawniejszy, niż sznycel cielęcy. Dobra wołowina musi mieć kolor jasno czerwony, gdy świeżo przecięta, na powietrzu nieco ciemniejący. Powinna mieć strukturę zwartą, o delikatnych, cienkich prążkach, wygląd soczysty, tłuszcz żółtawy.

Wieprzowina i baranina są najmniej strawne, zupełnie niewskazane dla chorych i ozdrowieńców.

Kurczęta, gołębie, młode indycęta i ryby są bardzo odpowiednie dla chorych i gdyby nie ich koszt stosunkowo wysoki, powinnyby wejść do jadłospisu chorych narówni z jajami, jako główny pokarm białkowy.

Drób dziki i wogóle dziczyzna są mniej strawne, jako mięso ciemne.

Ser, jako dodatek do chleba, ale zwykły twaróg rozarty, jest b. zalecany, jak również ser zapiekany w różnych budyniach.

Żadnych ostrych, sfermentowanych serów, wywołujących nadmierne wydzielanie się soków trawiennych, żadnego pieprzu i innych ostrych przypraw dawać chorym niewolno. Wskazówki co do gotowania pokarmów z serem, budyniów, są te same, co ogólne wskazówki przy gotowaniu pokarmów białkowych, a więc niepodwyższanie nadmierne temperatury, regulowanie jej przez gotowanie na parze,

Przepisy:

Przypiekany befsztyk na ruszcie lub grubej patelni. W braku rusztu, rozgrzaną grubą patelnię nasmarować cienko masłem, lub skórą od słoniny. Położyć uformowany befsztyk z polędwicy lub rozbefu. Przypiec na obie strony, obracając często w ciągu 5–8 minut; jeśli kto lubi wysmażony, to dłużej — na wolnym ogniu. Osolić mialką solą na obie strony i zaraz podać na ogrzonym talerzu z kawałkiem świeżego masła na wierzchu, ubrany zieloną pietruszką. (Albo: 1 łyżka płaska stołowa masła, rozartego do białości, do tego dodać drobno usiekanej pietruszki, 1 łyżeczkę od herbaty soku z cytryny — wszystko wymieszać i nasmarować gorący befsztyk).

Rosół z kury. Po starannem oczyszczeniu kury, odjęciu tłuszczu, oddzielić skrzydła, nogi i szyję. Obetrzeć wilgotną czystą ścierką. Włożyć do rondla z zimną wodą i zostawić na pół godziny. Podgrzewać b. powoli i trzymać na ogniu, nie dopuszczając do wrzenia wody — przez 3 i pół godziny. Pod koniec gotowania precedzić, zebrać tłuszcz, dodać trochę włoszczyzny, osolić. Gdy włoszczyzna miękka, precedzić rosół. Odgrzewając go, nie dopuścić do wrzenia. Podawać z ryżem, ugotowanym osobno i przetartym przed dodaniem go do rosółu. Stara kura, nie za tłusta, jest najlepsza na rosół, a w powyższy sposób gotowana, nie będzie twarda i może być jeszcze użyta na potrawkę.

Potrawka z kury, cielęciny (przepis na 1 porcję). $\frac{1}{3}$ szklanki przestudzonego, pokrajanego w równą kostkę mięsa z kury, pół łyżki masła, ćwierć łyżki maki, ćwierć szklanki śmietanki lub śmietany. Rozpuścić masło na patelni, wsypać makę i stopniowo lać śmietankę, śmietanę lub nawet mleko. Zagotować na wolnym ogniu na jednolitą masę. Włożyć mięso z kury, wymieszać, dodać soli i soku z cytryny do smaku. Rozgrzać i podać na grzance czworokątnej, równo okrajanej. Ubrać pietruszką. Zamiast kury można dać pokrajaną w kostkę gotowaną lub pieczoną cielęcinę. Taki sam sos można podawać do mózdzku, obgotowanego uprzednio w słonej wodzie.

Marja Morzkowska.



GŁUSZEC.

Ptaka ten, rzadko spotykany w Warszawie, na Kresach wschodnich często bywa używany i jest w stosunku do innego dzikiego ptactwa tem, czem indyk w stosunku do reszty drobiu. Jest on bardzo duży i w smaku wyborny, o ile zostanie umiejętnie przyrządzony, co, niestety, rzadko się zdarza.

Po zabiciu głąszec powinien powiesić w zimnym, przewiewnym miejscu z tydzień, albo dni dziesięć. Po oskubaniu (przyczem ogon, skrzydła, szyję i głowę należy uciąć w całości i ususzyć wraz z piórami nad blachą, lub w bardzo letnim piecu, aby pierze się nie spaliło, ani nie pokurezyło), po opaleniu nad spirytusem, wypaproszeniu i dokładnem wymyciu w kilku wodach, należy głąszca zamarynować. Litr wody zagotować ze szklanką octu (wlać, jeśli jest, drugą szklankę jakiegobądź białego wina, chociażby owocowego), dodać całą cebulę,

garść jagód jałowcowych, pieprzu, ziela, goździków, listka; zagotować razem, sparzyć tą wrzącą marynatą głąszca i trzymać w niej trzy doby, codzień przewracając. Wyjąć, osolić zewnątrz i wewnątrz, potrzymać tak godzin parę, naszpikować gęsto krajaną cienko wędzoną słoninką, lub zawinąć całego ptaka w plastry słoniny, ułożyć na brytfannie, położyć na wierzchu jeszcze kawałek masła i piec, jak każde inne pieczone, polewając smakiem, w którym się głąszec marynował. Piecze się zwykle około półtorej godziny.

Pokrajać na ładne, cienkie plastry, tak zupełnie jak indyka, ułożyć znów w całość na półmisku. Sos, zaprawiony łyżką maki, kwaterką kwaśnej śmietany, zagotowany i precedzony, podaje się oddzielnie w sosjerce. Do głąszca podają się wszelkie ostre i zielone salaty, kapustę czerwoną, kompoty octowe i kompoty świeże. Tak się podaje głąszca na gorąco.

Cheć go podać na zimno, po upieczeniu dajemy mu dobrze zastygnać. Tymczasem należy wykrajać z czarnego chleba podstawę takiego rozmiaru, jak głąszec, wysoką na 6 do 8 cali. Podstawę tę trzeba obsmażyć ze wszystkich stron w tłuszczu, zastudzić, ułożyć na dużym półmisku. Przez szyję, aż do głowy, przesunąć gruby, mocny drut, aby tę szyję móc ładnie wygiąć. Umocować szyję z głową, skrzydła, ładnie ułożone na górze, i ogon do podstawy z chleba, w środku położyć ładnie pokrajanego głąszca, ułożonego w całość. Półmisek przybrać zieloną salata i wydać na stół.

SMACZNA POTRAWKA Z DRÓBEK INDYCYCH

Dróbka indyche (szyja, skrzydła i żołądek), ugotowane w rosolu, wyjąć, podzielić na mniejsze części (z dużego indyka szyję i skrzydła każde na trzy kawałki — żołądek krajać dopiero przed samem podaniem). Obrumienić w łyżce masła, dodać drobno pokrajaną cebulę, hiszpańską lub cukrową, 1 goździk, wlać szklankę rosółu, pół szklanki wina białego (może być owocowe) i gotować razem, aż mięso od kości odstawać zacznie. Obrąć pół kilo kasztanów ze zwierzchniej skórki, ugotować na miękko, obrąć z drugiej, wewnętrznej skórki (robić to bardzo ostrożnie, aby kasztany pozostały możliwie całe), włożyć te kasztany do potrawy. Jeśli sosu mało, dolać rosółu, lub, co jeszcze smaczniej, sosu z pieczonego indyka, co jest o tyle łatwe do wykonania, że zwykle się robi potrawkę z dróbek, pozostałych właśnie po pieczonym indyku. Po pięciu minutach dodać dobrze wymoczoną i oddzielnie usmażoną wątróbkę indyczą (o ile nie została użyta do nadzienia nidyka). Całą potrawkę przełożyć na salaterkę, obłożyć ją grzankami przysmażonemi z bułki, lub fleuronami z francuskiego ciasta.

BUDYŃ Z PIECZAREK.

Ćwierć kilo pieczarek obetrzeć starannie z piasku suchą ściereczką. Dopiero potem umyć w zimnej wodzie. Zdjąć skórki i posiekać pieczarki jaknajdrobniej. Dużą cebulę hiszpańską lub cukrową, utartą na tarce, przesmażyć, nie rumieniąc, w dużej łyżce masła (5 deka). Włożyć w to pieczarki i dusić wolno minut dziesięć. Trzy bułeczki-warszawianki, lub dwanaście deka domowej, czerstwej bułki, wymoczyć w mleku, wycisnąć i utrzeć doskonale w misce. Dodać pieczarki, uduszone z cebulą, i po jednym trzy żółtka. Gdy masa stanie się gładka, osolić ją do smaku, nieco popieprzyć białym pieprzem. Białka pozostałe ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą masy i przełożyć do budyniowej formy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Gotować, jak wszystkie budynie, na parze, uważając, żeby woda dochodziła do połowy formy. Łyżkę maki zasmażyć z łyżką masła, rozprowadzić smakiem, ugotowanym z lupinek pieczarkowych z dodaniem zwykłej włoszczyzny, jak do rosółu. Sos ten zaprawić półkwatkiem śmietany, lub paru żółtkami i podać w sosjerce do budyniu. Można też doń wsypać garstkę świeżego, zielonego, drobno usiekanego koperku.

Pani Elżbieta.

KOŁO STUDJÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Na ostatnim zebraniu miesięcznym Koła S. G. D., które odbyło się w dniu 6 marca r. b. w sali Związku Katol. Kobiet (Krakowskie Przedmieście 56), poruszane były szeroko sprawy organizacyjne. W zastępstwie p. Izy Mandukowej przewodniczyła p. Halina Przesmycka, która powiadomiła zebrane panie o silnym rozwinięciu akcji Zarządu w kierunku zakładania oddziałów Koła w Warszawie i na prowincji, oraz otwieraniu kursów.

Drugi kurs gospodarstwa domowego uruchomiono 14 marca r. b. pod kierownictwem p. Marji Karczewskiej. Wykłady prowadzone są w lokalu Szkoły Miejskiej Rękodzielniczej przy ul. Narbutta (róg Kazimierskiej); instruktorką jest p. Zielińska. Wzorówka Koła S. G. D., mieszcząca się przy kursach, jest już skompletowana i zwiedzać ją można w każdą drugą i czwartą niedzielę miesiąca od godz. 12-ej. Wstęp dla członkiń bezpłatny.

Do powstałego niedawno w Warszawie Instytutu gospodarstwa domowego weszły do zarządu z ramienia Koła S. G. D. panie: Chmieleńska Marja, Mandukowa Iza, Przesmycka Halina. Celem i zadaniem Instytutu będzie postawienie ruchu gospodarczego kobiet polskich na zasadach naukowych, opierających się na doświadczeniach laboratoryjnych.

Następnie p. Halina Przesmycka opowiedziała swe wrażenia z pobytu na Zjeździe Związku pań-gospodyń, który się odbył w połowie lutego r. b. w Berlinie.

W Niemczech „Vereiny“ są najpopularniejszą formą zrzeszeń kobiecych. Są to koła lokalne, rozsiane po wsiach i miastach, które działają zupełnie autonomicznie. Wszystkie te związki łączą się razem w jedną silną organizację, zwaną „Reichsverband deutscher Hausfrauenvereine“, z siedzibą w Berlinie. Koła poszczególne opodatkowane są na rzecz Reichsverbandu 1 pf. miesięcznie od każdej członkini. Pozornie znikomy ten podatek czyni w sumie około 2 tysięcy marek miesięcznego dochodu, gdyż w Niemczech liczba kobiet zrzeszonych dosięga 200.000 członkiń.

Reichsverband stanowi bardzo sprężystą i wpływową organizację, na której czele stoi p. Margis. Cztery razy do roku zwoływane są zjazdy ogólne w coraz innym mieście. Najbliższy zjazd wyznaczony jest na czerwiec r. b. i ma się odbyć w Gdańsku, co umożliwi gospodyniom-polkom wzięcie w nim liczniejszego udziału.

Reichsverband wysyła swe przedstawicielki na zjazdy międzynarodowe, działalnością swą obejmuje instytut doświadczeń, akcję gospodarczego wykształcenia kobiet. Posiada szerokie wpływy i stosunki u władz, uzyskuje fundusze i stypendja, organizuje kursy, odczyty, wystawy i t. p. Jest bezsprzecznie władzą naczelną ruchu gospodarczego kobiet na terenie Niemiec. Centrala związków kobiecych, których sam Berlin posiada 40 (co stanowi 15 tysięcy członkiń), nosi nazwę „Hausfrauenverein“ i posiada wszędzie swe przedstawicielki: w kuratorjum do spraw gospodarczych, w referacie gospodarstwa domowego, który powstał w 1928 r. przy min. rolnictwa, w zjed-

noczeniu towarzystw opałowych, w radzie gospodarstwa wiejskiego, w wydziale standartów (norm). Ostatnio standaryzacji podległy butelki do soków owocowych i do mleka oraz słoiki do miodu.

Żywą akcję przeprowadziła centrala również w celu spularyzowania pokarmów z ryb morskich. Poza tem centrala utrzymuje stały i bardzo ścisły kontakt z min. handlu i przemysłu oraz Związkiem handlowców wielkiego Barlina.

Jedną z najciekawszych wystaw, zorganizowanych przez centralę w roku bieżącym, była „Bemffrauen — Hausfrauen“, czyli kobiety, pracujące zawodowo-gospodyniami. Pokazano tam kilka doskonale przemysłanych wnętrz: robotnicy, szwaczki, urzędniczki i lekarki.

Najciekawszem jednak dziełem kobiet niemieckich jest „Heibandi“ — stała wystawa urządzeń gospodarskich. Tam informują się gospodynie zupełnie bezpłatnie, co i gdzie mogą najkorzystniej nabywać. Wystawa składa się z 20-tu pokoiów, które obsługuje 16 wykwalifikowanych specjalistek. Zwiedzających bywa od 150 do 200 osób dziennie. Oprócz specjalnych działów gospodarskich znajduje się tam czytelnia i sala wykładowa. W określone dni tygodnia odbywają się tam pokazy gotowania, pieczenia, próby użyteczności zgłaszanych przyrządów i raz na miesiąc odczyt. Utrzymuje się ta wystawa z subsydjów wielkich firm przemysłowych, które tą drogą zdobywają sobie reklamę i rynki zbytu.

Zagadnienie służby domowej w Niemczech nie jest jeszcze unormowane. Służące przeważnie są drogie, lecz wykwalifikowane. Wobec coraz liczniejszych zatargów, wynikających między pracownikami i pracodawcami, w 1926 r. zostały ustanowione sądy pracy, w których udział biorą przedstawiciele stron obu. W Berlinie, jako sędziowie pracy, występują członkinie różnych organizacji.

Jak silne jest zainteresowanie sprawami gospodarstwa domowego wśród kobiet niemieckich, świadczy wymownie ilość słuchaczek, uczęszczających na kursy gotowania. W 1928 r. kursy ukończyło 785 słuchaczek w wieku od 18-tu do 70-ciu lat. Centrala, rozumiejąc, że dla osiągnięcia swych szerokich zamierzeń potrzebuje sił fachowych, zaprasza do współpracy: prawniczki, rolniczki, pedagogiczki, architektki, które rozstrząsają trudniejsze zagadnienia w zakresie swych specjalności.

„Hausfrauenverein“ wydaje swój dwutygodnik pod tytułem: „Wir Hausfrauen in Gross Berlin“.

Po tem sprawozdaniu p. Marja Maceńska wygłosiła referat „O praniu“. Podkreśliła znaczenie racjonalnego rozmieszczenia sprzętów, niezbędnych przy tej pracy. Udzieliła wskazówek w sprawie wyboru mydeł do prania ręcznego i maszynowego, wreszcie podała sposoby segregowania bielizny przed zamoczeniem. Wykład ten urozmaiciły pokazy kompresorów oraz maszyn do prania, jak i rozlicznych gatunków mydeł w stanie stałym, płynnym i sproszkowanym.

Na zakończenie p. Elżbieta Kiewnarska podała menu na obiad jarski z trzech dań, uzupełniając każdą potrawę szczegółowym przepisem.

Po skończonem posiedzeniu członkinie nabywały po cenach znizonych ściereczki, sitka automatyczne oraz herbatę, oliwę i czekoladę.

Marja Ankiemiczowa.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Alleluja wiosny.

Wiosna! Skowronczany hejnał, jak dzwonek, bije ze srebrnych przestworzy. Ziemi i niebu, najlichszej krzewinie, skrytej w wadołach, i światu całemu; sercem ludzkim głosi oto radosną wieść: wiosna!

Złocistością rozplamieniał się lazur, daleko, daleko na horyzoncie tęczo kwitną wschody i zachody, słońcu rozwarte, jak wrota z baśni.

Świeżość i życie niesie wiatr do płuc, przywiedłych w dusznej atmosferze biura. Od łóz je niesie, które nad rzekami ugięły się przed nim w tańcu posuwistym; z borów, kędy konary ciemne, niby z cynobru ulane, wstrząsał, aż spłynęły w nie soki, życie dające listeczkom drobnym, koloru srebra i seledynu.

Kwiaty pachną w onym powiewie, wpierw, nim zapłonie stu barwami ich szata, w szmaragd whaflowana aksamitny, przewiewają fantasmagorycznie powietrzem, niczem duchy woni i piękna, dźwięk wydając, poszmer echowy, jako prześliczną, niewysłowioną pieśń: wiosna!

Jest srebrnie, słonecznie i błękitnie, jest przezroczczo, ukojnie i weselnie, ach! weselnie. Wiosna! Pieśń gra; niech przepadną smutki i bóle, niech ze śniegiem płyną w przeszłość, a po pustkowiu błędząca tęsknota niech rodzi jeno radość i szczęście. Tak prawdziwe, jak prawdziwym jest uśmiech, którym dziecko wita słońce; tak gorące, iżby spaliły się w nich zbrodnie i zło, brud i zawiść wszelka, zachwaszczająca życia ugory; tak promienne, iżby i lzy, owe skrzepłe perły żalu, nakształt rubinów męką syconych krwawe, uniesione jednej chwili na szczyt Taboru, rozbłysły cudownym blaskiem ekstazy w echach wiosennych, w wiosennych śpiewach.

Oto tyle ludzi, cieni minionego dumnego „jestem“, płacze się w zimnie, w ruinach. Wietrze, oddechu życiotwórczy ziemi-matki, daj ramionom prężność i pęd, halnym podobny płasaniom; kieruj do słońca, ku gwiazdom, by napiły się dusze błękitu i rozżłociły blaskiem serca, by w dłonie moc spłynęła, urągająca rozpacz; by krzyk rozbrzmiał, skrzydlaty, jak onych ptaków, z za mórz ciągnących: wiosna!

A wtedy, choć na krótki moment, choć na jeden dzień wiosny, najsmutniejszym życie stanie się błękitną bajką, jak to dawno, dawno, w dzieciństwie bywało.

Ukojeni, zechcą może pracować dalej i walczyć i cierpieć, w ciszy, bez skarg, nawet z uśmiechem.

Bo nietylko czarodziejką, piękna berło dzierżącą, ale i dusz wspomogieniem, serc rozkoszą i ciał słabnących mocą jest Wiosna.

Z. P. — Byteń.

Nowa placówka.

Świeżo powstała w Drohobyczu nowa placówka kobiecej pracy społecznej: Oddział Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet.

Samo zebranie organizacyjne wypadło imponu-

jaco. Niezwykle licznie, jak na Drohobycz, stawili się panie z miejscowej inteligencji.

Po zagajeniu zebrania przez p. starostę i przemówieniu piszącej te słowa, panie gremjalnie zapisały się na listę członkiń, zgłaszając z zapalem projekty i wnioski, w związku z programem działalności Oddziału.

Obecny na zebraniu, miejscowy ks. dziekan w serdecznych słowach powitał nową placówkę, wskazując rozmaite odcinki życia społecznego, czekające na intensywną pracę kobiecą, przyczem obiecał ze swej strony pomoc i poparcie nowej organizacji.

W dobrym, pełnym nadziei bliskiej pracy, nastroju rozeszły się zebrane.

Upłynęło sześć tygodni, a już mamy pierwsze kwiatki z załążka.

Po pewnych staraniach, przy wydatnej pomocy p. prezydenta miasta, otrzymaliśmy od Rady Miejskiej subwencję na urządzenie żłobka i poradni dla matek. Rada Powiatowa ze swej strony wyznaczyła nam również pewną kwotę, tak, że będziemy mogły urządzić żłobek na 25 dzieci. Mamy już odpowiedni, nowowypbudowany dom z ogrodem i teraz, zakasawszy rękawy, bierzemy się do pracy.

Trzeba znać grunt tutejszy, aby zrozumieć, jaką palącą kwestją jest urządzenie tu żłobka. Jak wszystkie miejsca nagłego zubożenia się, Zagłębie, ten nasz Klondyke, obok przelewającego się bogactwa, posiada najskrajniejszą nędzę, no, a prócz tego cechuje go, jak wszystkie Klondyke i inne Alaski, pewne rozluźnienie obyczajów. A za to wszystko kto płaci? te maleńkie istoty, Bogu ducha winne, które mrą po przedmieściach, gdzie kwitnie też swego rodzaju przemysł, „fabrykacją aniołków“ zwany.

Te istoty, nikomu najczęściej nie potrzebne, wychować chcemy w żłobku, przenieść potem do dziecińca, przeprowadzić przez przedszkole i szkołę. I zamiast powiększyć zastęp zbrodniarzy i mętów społecznych, nasze maleństwa, przy pomocy Boskiej, wyrosną na dzielnych i zdrowych obywateli. Da Bóg, że marzenia nasze nie skończą się tak, jak owej dziewczyny z dzbankiem mleka, posiadamy bowiem dużo więcej podstaw realnych.

I, proszę mi wierzyć, Szanowne Współczelniczki, zamiast się głowić nad kwestją „ślubnej“ czy „nieślubnej“, lepiej wziąć się do roboty, w ten czy inny sposób pomagając do rozwiązania tego palącego zagadnienia praktycznie. Tu mogą tak wiele zrobić te osławione „dwie godziny“ tygodniowo, dobrze pokierowane i umiejętnie wyzyskane.

Wydział Oświaty zajął się organizacją kursu dla analfabetów, których w Drohobyczu obfitość wielka.

W kwietniu urządzamy „Tydzień Marji Skłodowskiej-Curie“, zakreślając go na dużą skalę, a tego rodzaju skomplikowane zbiórki wymagają wiele pracy zbiorowej i dużej również ofiarności ze strony urządzających.

Wydział Uświadczenia Obywatelskiego organizuje w tych dniach pierwszy w Drohobyczu odczyt dla kobiet. Tematem jego będzie rewizja Konstytucji.

Oto są nasze pierwsze kroki na terenie wolnego królewskiego miasta Drohobycza. Obok zwykłej, obójnej ironji sfer męskich, spotkałyśmy serdeczny oddźwięk i rzetelną pomoc tych, co pragną widzieć kobiety uświadomionymi, zdolnymi do spełniania swych obowiązków, obywatelkami.

Dlaczego zawiązałyśmy naszą nową organizację? Dlatego, że różnymi drogami i ścieżkami chodzi myśl ludzka i pragnienie czynu. Społeczna praca kobieca, skoordynowana z pracą rządu i samorządów, oparta na ideologii Tego, który życie swe niepodzielnie oddał krajowi, odpowiada widocznie potrzebom kobiet, dowodem czego służy stały dopływ nowych członkiń do Oddziału.

Nie hasel i frazesów pragniemy, a pracy rzetelnej, ofiarnej, jakiej wzór mamy zawsze przed sobą.

L. Chomsowa — Drohobycz.

O czym pisałam. (*W odpowiedzi p. przewodniczącej N. O. K. w Krasnymstawie.*)

Zamieszczając w N-rze 7-ym „Bluszczu” zapytanie: „Kiedy będziemy solidarne?”, absolutnie nie przypuszczałam, że słowa moje znajdą oddźwięk w tutejszej N. O. K. Byłam więc bardzo mile zaskoczona odezwaniem się Szanownej Przewodniczącej wymienionej organizacji w N-rze 12 „Bluszczu”. Zdziwiło mnie to jednak w pewnym stopniu.

Pisząc, nie chciałam upokarzać jednej organizacji, a wznosić hymny pochwalne na cześć drugiej; były to tylko uwagi, dotyczące braku solidarności, o ile chodzi o pracę na niwie społecznej; bo jeżeli chodzi o ideologję, o zapatrywania polityczne, organizacje tworzą dwa różne obozy. Jednak nie powinno to przeszkadzać absolutnie do wspólnej pracy społecznej. Dlatego pozwoliłam sobie użyć, jako wstępu do artykułu, słów wieszczka: „Hej! ramię przy ramieniu!”.

Teraz pozwolę sobie uczynić pewne sprostowanie. Organizacja Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet istnieje w Krasnymstawie od 1927 r.; w tym czasie nosiła nazwę Związku Kobiet Demokratycznych. Działalność Związku ograniczała się wówczas, wobec zbliżających się wyborów do Sejmu, do obywatelskiego uświadamiania kobiet, które, tworząc w Polsce połowę ludności, muszą w połowie ponosić odpowiedzialność za losy Państwa i powinny wziąć na siebie połowę obowiązków, przypadających w udziale społeczeństwu. Chodziło wówczas o rozbudzenie świadomości zadań, do których kobieta dążyć musi koniecznie, o ile nie ma pozostać na stanowisku próżnej ozdoby. Następnie, w 1928 r. zmieniona została nazwa na Związek Pracy Obyw. Kobiet i organizacja w bardzo ciężkich warunkach rozwija się stopniowo, powolnie, przy usilnej, a niezmordowanej pracy byłej przewodniczącej, która kilkakrotnie rozsyłała zaproszenia, organizowała odczyty i t. p., aby tym sposobem zachęcić grono pań do współpracy. Wynika więc z tego, że Związek Pracy Obyw. Kobiet jest na terenie naszego miasta organizacją starszą.

Następnie Szanowna Autorka podkreśla łaskawie, iż przypuszcza, że „członkinie Zw. Pr. Ob. chcą też dla Polski coś dobrego zrobić”. Bezwzględnie, jest to zadaniem każdej polki, a cóż dopiero mówić o zorganizowanych. Organizacja ma swój wytknięty cel, ma swoje zadanie, a tem zadaniem jest przede wszystkim stworzenie typu obywatelki polskiej, świadomej swych praw i obowiązków, któraby do życia publicznego zdołała wnieść nowe wartości. Kobiety, obda-

zione naogół większą od mężczyzn intuicją, gorętszym entuzjazmem i głębszym poczuciem sprawiedliwości, dobra i piękna, mogą, przy odpowiednim uświadomieniu i wyszkoleniu stać się nader cennym czynnikiem rozwoju społecznego i państwowego. Organizacja daje pole najróżnorodniejszym uzdolnieniom kobiecym, formującym się w miarę potrzeb lokalnych.

Rada, abyśmy nie walczyły z sobą, uważam, jest zbyt uczynna, bo nikt nie ma zamiaru tego czynić. Chodzi o współpracę, a nie o walkę.

Doprawdy nie miałam zamiaru pewnych rzeczy traktować subiektywnie i okazywać na forum, jednak zmuszono mnie do publicznego odezwania się, a więc wyjaśniam dalej.

Co się tyczy kwestji niewoli organizacyjnej. Szanowna Autorka dziwnie każde zdanie przyjmowała na karb N. O. K.; dlaczego? trudno powiedzieć! Ja nie pisałam o organizacji, a o organizacjach. Mimo woli nasuwa mi się przysłowie o stole i nożyczkach. Pozwolę sobie jednak na bardzo prymitywny przykład, aby być zupełnie usprawiedliwioną. W swoim czasie Zw. Pr. Ob. Kob. urządzał wieczór, t. zw. „Czarną Kawę”, na patronat dla więźniów. Członkinie z N. O. K. proszone były o wzięcie udziału w atrakcjach artystycznych wieczoru. Początkowo wyraziły swoją zgodę, później jednak zgłosiły odmowę, motywując, że im nie wolno! A więc naprawdę „niewola”. Wszak w danym wypadku szło tylko o współpracę i t. zw. polityka nie wchodziła chyba w grę, a jednak...

Innym razem jeden z panów, znany na naszym terytorjum z prac społecznych bez różnicy dla kogo, organizował przedstawienie amatorskie i musiał zwrócić się do organizacji o pozwolenie dla członkiń, chcących wziąć udział w przedstawieniu. Daruje Szanowna Pani, ale to już zakrawa na pensjonat i w żadnym wypadku nie można tego nazwać karnością.

Na zakończenie muszę podkreślić raz jeszcze z całą stanowczością, że nie miałam na celu krytykowania N. O. K. specjalnie, pisząc wogóle o organizacjach i stwierdzając fakt, że czeka nas, ogół kobiet, jeszcze wielka praca, zanim z dumą nazwać się będziemy mogły „dorosłymi” w znaczeniu uspołecznienia. Z radością jednak powitać należy sam odruch zrzeszania się kobiet, ufając, że przy dobrych chęciach będziemy z każdym rokiem silniejsze i pewniejsze swych poczyną.

Dyskusję na powyższy temat uważam za wyczerpaną.

Pola Pawłowska — Krasnystaro.

Jeszcze o „Domu Kobiet” Nałkowskiej. (*Na marginesie recenzji.*)

Do doskonałej recenzji p. S. P. O. o tej ciekawej i głębokiej sztuce, nie już chyba dodać nie można. Ujęła ona trafnie ideowe założenie sztuki i jej myśl przewodnią, podkreśliwszy dyskretnie, ale wyraźnie jej niedociągnięcia artystyczne, pod względem czysto scenicznym zresztą. P. Nałkowska zbyt wyrobioną jest pisarką, aby sama tych niedociągnięć widzieć nie miała. Dramat, to nie powieść. Budowa jego musi być tak ścisła i zwarta, jak budowa gmachu. Dramat, to zadanie matematyczne. Dramat, to nieubłagana logika (w budowie). Dramat, to skrót perspektywiczny tej samej rzeczy, której opis daje powieść. Dotychczasowa twórczość p. Nałkowskiej dowiodła, że właśnie posiada wiele z tych zalet, koniecznych dla dobrego dramaturga. Mózg jej, t. zw. „męski”, stworzony do ścisłego myślenia, zna dobrze

tę „matematykę” twórczości. I ona zresztą sama to czuje, dlatego do dramatu się zwraca. Że stworzy jeszcze dramat doskonały, świadczy o tem choćby znakomita, bardzo sceniczna i dlatego najmiłsza dla dużej widza (nietylko dlatego, że jest jedyną optymistką w tym ponurym Domu Kobiet i nietylko dlatego, że ją gra świetna i pełna humoru artystka), postać Julji. Jest ona podana w najlepiej uchwyconym skrócie, „w rzucie” (bo i geometria wykreślna musi być znana autorowi dramatycznemu). Jest to postać, bądź co bądź, epizodyczna, bo nie konieczna do akcji. Można ją też uważać po części za t. zw. „rezonerkę”, ale tych i tak jest w sztuce za dużo. I to ją zbyt obciąża. Bo rezonerką, to znaczy osobą, nie działającą właściwie, lecz pretekstem do wypowiedzenia właściwej tezy sztuki i przekonań samej autorki, jest i Babka, i Róża, a nawet, mimo swej charakterystycznej zgryźliwości (ah, żeby wśród ośmiu starych kobiet, płaczących po utracie swej miłości, tylko ta jedna była histeryczką i mizantropką, nie uwierzę nigdy) Tekla!

Mimo to wszystko jednak, sztuka jest nietylko sceniczna, ale głęboka i mocna, jest przedewszystkiem interesująca, a to przecież najważniejsze.

Ale, już nie z artystycznego punktu widzenia, lecz pod kątem t. zw. „kwestji kobiecej”, możnaby tu z autorką polemizować w niejednym. Naprzykład: czy dobrze jest, że w tej sztuce wszystkie te kobiety nic innego nie robią, tylko myślą i mówią o mężczyznach? I cierpią przez miłość do mężczyzn, a ci mężczyźni, to przecież zdrajcy i kłamcy, niewarci tego wcale. Bo takie wrażenie nam zostaje. Szlachetność tych opłakiwanych nie przekonywa nas, bo jej nie widzimy, co zaś widzimy jaskrawo, to nikczemność Krzysztofa Nielewicza i tego drugiego, który woła: „Ewo”, i bierze ją sobie brutalnie i egoistycznie. To poprostu wali w nas, choć tych mężczyzn nie widzimy, a Krzysztof już nie żyje. Rozumiem też, że tej sztuki tak nie lubią mężczyźni. Razi ich ta jednostronność przedstawienia sprawy. I ci z pośród nich, którzy się choć trochę zarazili Weiningerem (a któryż mężczyzna choć trochę się nim nie zaraził?) mówią o autorce: „Oto prawdziwa kobieta! Zawsze jednostronna i niesprawiedliwa!”.

Gdyby w tej sztuce byli i mężczyźni, autorka miałaby prawo (mówię, oczywiście, o artystycznym prawie) napadać na nich, jak to czyniła często genialna Zapolska (jakoś nieładnie atakować nieobecnych, pomimo, a raczej w myśl przysłowia: „Les absents ont toujours tort”). Skoro jednak mamy tu same kobiety, może byłoby lepiej dać pełniejszą ich galerję, zamiast jednego tylko właściwie typu „grande amoureuse”. (Wszystkie zresztą są w żałobie po utracionej miłości). I o tego Krzysztofa możnaby się kłócić z autorką. Nie o to, że miał w ukryciu drugą rodzinę, że przez całe życie kłamał, bo widz oprócz zbrodni jego, widzi w tem i tragedję, jego tragedję, człowieka, który całe życie kłamać musi, przebacza więc i rozumie; ale o to, że w ostatnich latach życia zdradził obie i to dla jakiejś młodej dziewczyny, opuściwszy i zaniebawszy dzieci. To już doprawdy na zaciekłość wygląda. Nie dlatego, żeby takich mężczyzn nie było (jest ich, niestety, aż nadto wielu!), ale to jakoś naprawdę przechodzi już miarę tego, co słuchacz znieść potrafi. No a przytem, czyż to może być prawdą, aby taki potrafił całe życie udawać Katona? i być uwielbiany przez wszystkich? Trudno w to uwierzyć, już choćby dlatego tylko, że są na świecie kobiety nietylko tego wysokiego pokroju, co panie z „Domu Kobiet”, ale i kobiety innej miary, których ciekawość i intuicja i toby wyszperała napewno, a język rozgadał.

No i o to właśnie ma się jakby żal do tak świetnej autorki, jak Nalkowska. O tę zaciekłość, z jaką ściaga umarłego Krzysztofa. Bo jeżeli mężczyźni byli dotąd często źli i niesprawiedliwi względem kobiet (mówię o mężczyznach piszących, oczywiście, ale oni prawie tylko trzymali dotąd pióro w ręku), to, nie popełniajmyż i my, kobiety piszące, tego samego błędu względem mężczyzn!

Nie jest mniejszą zbrodnią zdrada Joanny, choć się przekonała, że ją popełniła wobec nikczemnika i zdrajcy. A może jest większą właśnie, boć ona przecież kochała. Jakże więc zdradzić człowieka, którego się tak kocha? On zaś kochał nie ją, ale tamtą, matkę swych dzieci. A może obie? Dużoby na ten temat dysputować można (przypomina się też Karin Michaelis ze swemi teorjami). Ale summa summarum, sztuka, która tyle daje materiału do rozmyślań i dyskusji, musi być wiele warta.

Zofja Wójcicka-Chylewska — Warszawa.

Tylko wyjaśnienie (w odpowiedzi p. Zawiszance.)

Nie będę zabierała w „Naszej Mównicy” miejsca na replikowanie p. Zawiszance, mam bowiem wrażenie, że stoimy na tak oddalonych krańcach w naszych poglądach na istotę konieczności życiowych i na etykę życia ludzkiego, oraz na systemy walki z jej brakiem, że dysputa nie doprowadzi nas nigdy do porozumienia.

Ponieważ jednak p. Zawiszanka nie może zrozumieć mojego powiedzenia, że „sankcjonowanie przez społeczeństwo nieślubnego macierzyństwa nie jest daniem praw kobiecie, lecz zwolnieniem z obowiązków ojcostwa mężczyzny” i uważa, że danie alimentów przez nieślubnego ojca jest już tych obowiązków spełnieniem... muszę swój pogląd sprecyzować jaśniej. W mojem, proszę Pani, mniemaniu, nie tu kończą się obowiązki ojca. Po stokroć ważniejsze od pomocy materialnej są obowiązki moralne, związane z wychowaniem dziecka na człowieka-obywatela, od których, siłą rzeczy, uchyla się nieślubny ojciec, a którym samotnej kobiecie-matce, nieraz trudniej jest sprostać, niż obowiązkowi żywienia dziecka.

M. Świeżyńska — Toruń.

Musimy mieć dobre mleko.

Przed niedawnym czasem krakowski „Kurjer Codzienny” umieścił w dziale lekarskim charakterystyczną fotografię, przedstawiającą sprzedaż mleka na rynku któregoś z naszych miast. Doprawdy, każdy człowiek musi się do tego obrazka boleśnie uśmiechnąć i pomyśleć: „niestety, tak jest w istocie”. Mleko nawet w tak dużym mieście, jak Lwów, kupuje się od kobiet na rynku, z blaszanek o czystości raczej problematycznej. Wiadomo, że mleko to jest „chrzczone”, mieszané świeże z wczorajszem, etc. Mleko takie często jest niedbale przykryte i zanieczyszcza się pyłem i kurzem ulicznym. Słowem, skład jego powiększa się o niezliczoną ilość bakterii chorobotwórczych i zamiast nieść ludziom zdrowie, zabija ich. Drugi rodzaj kupna, to mleko ze sklepiku. Tam „czystość” jego jeszcze się wzmaga, bo przelewane z blaszanek do garnków, cedzone przez szmatki z resztek bielizny,

stać się roztworem jeszcze więcej nasyconym różnymi bakteriami.

Jako najlepszy środek nabywania mleka, istnieje t. zw. dostawczyni, kobieta wiejska, przynosząca stale mleko do domu. W tym wypadku czystość zależy od indywidualności danej gosposi, a istnieje choćby ta prosta wygoda, że służąca, lub pani nie traci czasu na chodzenie do miasta po mleko.

Inaczej rzecz się ma np. w Niemczech, gdzie w Hannoverze, w tym roku widziałam taki system: o godz. 6-ej lub 7-ej rano przed dom zajeżdża auto; chłopak stawia pod drzwiami plombowane flaszki z mlekiem i zabiera wystawione przed drzwi flaszki z dnia poprzedniego. Data dnia, wybita na plombie, wskazuje, że mleko jest świeże. System zagraniczny spełnia warunki higieny, zaoszczędza czas gospodyni, lub służbie, jest więc wart uznania i powinien z jaknajdalej idącymi udoskonaleniami wejść w życie w Polsce.

Zdobycze kulturalne narodów są ich chlubą, ale stanowią własność ludzkości.

Pragnę, ażeby kobiety polskie popatrzyły poważnie na tę sprawę, pozornie szarą i mało znaczącą; by zrozumiały, że walka z brudem i niechlujstwem, to wielki czyn społeczny kobiety-obywatelki.

Brudne mleko, to choroba i śmierć dzieci i osób dorosłych.

Zacznijmy w sklepach, mleczarniach etc. domagać się czystości. Żadajmy, by pisma codzienne wskazywały, jak ma wyglądać wzorowy sklep z nabiałem; same nie posyłajmy sług po mleko z garnkami nie należycie przykrytymi i pracujmy nad tem, by miasta nasze miały swoje własne, wzorowe mleczarnie.

I. Siemianowska.

Kilka słów o ordynansach.

Nowa ustawa o służbie domowej wywołała ze strony pań mnóstwo sprzeciwów; naturalnie, wszystkie tyczyły się służących. Otóż do pewnego stopnia do tej służby należy też zaliczyć ordynansów, zwanych pocztowymi (choć ustawa nie będzie ich obejmować). Różnica jest ta, że służąca należy do państwa, względnie do pani, która nią rozporządza, ordynansi zaś do oficera. Skutek jest taki, że pomocy w domu niema z nich żadnej, w każdym razie minimalna, gdyż każda czynność im nie odpowiada (oczywiście, za wyjątkiem czyszczenia butów, no i jeszcze podłogi).

Słyszysz się czasem, coprawda, o ordynansach-niańkach, ale to należy do wyjątków; przytem żołnierz, niańcząc dziecko, wygląda krotocwilnie, i zresztą jest to formalnie zabronione.

Myślę więc, że wszystkie panie chętnie zrzekną się bohaterskich Wojtków, o ile otrzymają wzamian kilkadziesiąt złotych, jakie państwołoży na ich utrzymanie. Sprawa ta podobno była już kiedyś poruszana, należy ją jednak jeszcze raz rozpatrzyć i załatwić.

Czyby więc niewskazane było, aby „Rodzina Wojskowa” wniosła do odnośnych władz podanie o zniesienie na czas pokoju ordynansów, wzamian za odpowiedni równoważnik. Musimy przytem pamiętać, że około 19-tu tysięcy żołnierzy (gdyż tyle podobno liczy korpus oficerski) ma przeszkolenie 6-cio miesięczne, zamiast obowiązującego 18-to miesięcznego. Część z nich w razie wojny może być użyta do

posług, licząc jednak, że w najbliższym czasie wojny nie będzie (25 lat), wytworzy się armja pół-miljonowa, która, nie mając za sobą pełnego przeszkolenia, będzie stanowić tak zwane „ciury obozowe”.

Z. J. D. — Bielsko.

Nasza ankieta gospodarcza.

1. Wszystkie sprawunki gospodarskie, z wyjątkiem niektórych produktów, kupuję sama.

2. Produkty spożywcze przeważnie u stałych dostawców. Produkty, których zużycie da się przewidzieć, sprowadzam od kupca raz na miesiąc. Część zakupów robię, wyszukując okazynego kupna; jakkolwiek zabiera to więcej czasu, jednak przy ograniczonym urzędniczym budżecie nie można pogardzać tego rodzaju oszczędnością.

3. W Krakowie trudno kupującemu zorjentować się, czy kupuje się towar krajowy, czy zagraniczny. Publiczność tutaj-sza tak była przyzwyczajona do wyrobów przemysłu czeskiego i austriackiego, że kupcy, chcąc ją zadowolnić, często podają towar krajowy (z b. Kongresówki), jako wyrób cenionych tutaj fabryk. Wskutek tego podtrzymuje się sugestia o wyższości towarów zagranicznych. Wystawa poznańska otworzyła kupcom i nabywcom oczy na wyroby krajowe. Mojem zdaniem, z pośród przedmiotów częstego użytku, tylko porcelana i materje jedwabne krajowe ustępują zagranicznym.

4. Do niedawna w Krakowie trudno było dostać krajową konfekcję, porcelanę śmielowską. W ostatnich czasach znać duże polepszenie. Mało jest dotąd ryb morskich, które są tanim i zdrowym artykułem żywności.

5. Sklepy, w których jestem stałą klientką, liczą się z moimi żadaniami, informują też w miarę możliwości o źródłach towarów przeze mnie pożądanym.

6. Sprzedaż na kredyt i na raty jest w Krakowie bardzo rozpowszechniona. Kupcy zarówno polscy, jak i żydowscy, podobno zastosowali w tym względzie daleko idące udogodnienia. Odsyłanie towarów kolonialnych przy większych zakupach zaczyna się rozpowszechniać. Polskie sklepy bławatne, meblowe, żelazne mało okazują dostosowania do potrzeb klienta średniej miary: są tu albo marne sklepiki, albo sklepy z artykułami pierwszorzędnymi, drogiemi, często zagranicznymi, które nie odpowiadają zdolności nabywcy-urzędnika, czy skromnego inteligenta. Wyniosły ton personelu sklepowego wobec skromnej klientki zraża kupujących (np. służące) i odstręcza od uczciwych polskich firm.

7. Co do ogłoszeń, uważam, iż jest to najlepszy sposób zbliżenia kupującego do sprzedawcy, jednak sama rzadko kieruję się tym środkiem informacyjnym, gdyż u nas te pisma, które mają dużo ogłoszeń, odstręczają mnie treścią artykułów.

8. W „Bluszczu” radabym znaleźć informacje o mało znanych ogółowi wyrobach krajowych, np. krajowe „maggi” (z cenami i adresami), oraz ogłoszenia firm, mających zorganizowaną wysyłkę na prowincję.

9. Sprawunki załatwiam na miejscu.

10. Uważam, że najkorzystniejszą formą nabywania jest sprowadzanie towaru wprost od wytwórcy: unika się w ten sposób opłacania pośrednika. Rozpowszechniło się już sprowadzanie pocztą owoców z Zaleszczyk, miodu z pasiek wschodnio-małopolskich, grzybów litewskich. Ten sposób kupna wymaga zaufania do dostawcy. Ponieważ wytwórcy nie opłaca się wysyłać bardzo drobnych ilości, przeto uważam za pożądanę twórczenie kół nabywczych. Np. kilka blisko mieszkających osób sprowadza skrzynię jaj, lub worek maki. Przy częstszych transportach, można osiągnąć wydatną korzyść w cenie i jakości towaru.

J. Konopczyńska — Kraków.